



WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 6 (332)
11 lutego 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jubileusz pisarza

Roman Turek obchodził kilka dni temu piękny jubileusz — siedemdziesięciolecie swoich urodzin. Lata te przeżył intensywnie i twórczo, nie zmarnował żadnej szansy, ofiarowanej mu przez los. Dzieciństwo i młodość spędzone w trudnych warunkach chłopskiego dziecka we wsi podłańcuckiej, lata dojrzałe, które przeżył jako robotnik i proletariusz, wędrowni po świecie, po traktach i ścieżkach wojny dostarczyły mu wielu doświadczeń i przeżyć, które obecnie wykorzystuje w swojej twórczości literackiej. Dość nieoczekiwanie i późno pojawił się w jego życiu talent pisarski dużej miary. W roku 1961 wydał tom autobiograficznej gawędy pt. *Moja mama, ja i reszta*, a w roku 1962 dalszą część wspomnień *W służbie najjaśniejszego pana*. Zaczął się parać piórem w wieku już podeszłym, nie kierując się zresztą ambicjami działalności społecznej czy politycznej. Chce dać przede wszystkim obraz obyczajów dawnej wsi, obraz dawnego chłopskiego bytowania, pokazać charakterystyczne typy i sylwetki wiejskie. Książka „Moja mama, ja i reszta” zrobiła karierę na rynku czytelniczym i miała już kilka wydań. Jest istotnie rewelacyjna — cechuje ją znakomity i oryginalny humor, bogactwo realiów z życia wsi, werwa i temperament rasowego gawędziarza. Barwny i soczysty język wraz zawieszistością dyktoryjek licznie rozsianych po kartach książki, uatrakcyjniają jej lekturę.

Druga część pamiętnika Turka „W służbie najjaśniejszego pana” nasuwa skojarzenia z „Przygodami dzielnego wojaka Szwejka” Haszka i z „Solą ziemi” Józefa Witlina. Elementy bądź jednej, bądź drugiej powieści występują wyraźnie na kartach chłopskiego pamiętnika, lecz jednak nie dość zdecydowanie, by nazwać książkę Turka opowieścią o cierpliwym piechurze lub by mówić o świadomie zamierzonej drwinie z c. i k. monarchii. Turkowi chodzi tu również o dokument



obyczajowy, o wszystkie realia chłopskiego życia w czasie wojny — nie usiłuje konstruować uogólnień.

Obydwie książki są autentyczne, oryginalne i w pełni realistyczne. Trudno tu się dopatrzeć wpływów jakichkolwiek patronów literackich. Spojrzenie pisarza na świat z uśmiechem lekkiej kpiny, a zarazem słonecznej pogody każe nam raczej dostrzec zbieżność jego postawy życiowej z postawą Colasa Breugnon z powieści Rollanda. Siedemdziesięcioletni gawędziarz ma również twórczą starość, jak ten tryskający humorem burgundzki stolarz.

Roman Turek oddał do druku trzeci tom zbeletryzowanych pamiętników, który ma objąć czasy międzywojenne. Oprócz tego pisze i publikuje na łamach wielu pism literackich liczne opowiadania (jest częstym gościem na łamach naszego „Widnokręgu”). W roku 1959 otrzymał nagrodę twórczą WRN w Rzeszowie. Jest członkiem Związku Literatów Polskich i członkiem zarządu rzeszowskiego oddziału ZLP. Mimo swojego wieku aktywnie uczestniczy w życiu środowiska literackiego Rzeszowa. Na ręce jubilata zespół „WIDNOKRĘGU” składa serdeczne gratulacje i życzenia dalszych długich i twórczych lat życia.

J. G.

Niedawno, bo w grudniu i styczniu widzowie rzeszowscy mogli oglądać dwa znakomite spektakle krakowskiego kabaretu „Jama Michalikowa” — „A to ci Wesele” i „A to ci raj”. Jest to niewątpliwie jeden z najlepszych w kraju kabaretów i za ściągnięcie go do Rzeszowa należą rzeszowskiej Estradzie wyrazy podziękowania i uznania. W ogóle na uznanie zasługuje kierunek działalności agencyjnej, który w bieżącym sezonie to przedsiębiorstwo realizuje. Toczą się obecnie pertraktacje o dalsze występy w Rzeszowie „Jamy” z następnymi programami — z „Trędowatym” i z „20-latką z przeszłością”. Kabaret ten bowiem cieszył się w Rzeszowie wielkim aplauzem i dalsze wizyty krakowskich gości będą przyjęte z całą serdecznością. Zobaczymy również ostatni program drugiego krakowskiego kabaretu „Piwnicy pod Baranami”. Wystąpi w nim cały zespół Piwnicy — Piotr Skrzynecki, Ewa Demarczyk, Wiesław Dymny, Mieczysław Święcicki i inni. Przybędą do Rzeszowa w I dekadzie marca br. a przedtem prawdopodobnie odbędzie się uroczysta premiera ich najnowszego programu poświęconego w balem na zamku w Łańcucie. Pertraktacje w tej sprawie są w toku. Jeśli dodam, iż zobaczymy również u nas słynną warszawską „Owce” z programem „Dla mnie bomba”, to dla wszystkich staną się zrozumiałe intencje kierownictwa rzeszowskiej Estrady.

Chodzi po prostu o zaprezentowanie publiczności rzeszowskiej, skazanej dotąd tylko na odległe echa twórczości kabaretowej kraju, najlepszych osiągnięć i najbardziej renomowanych zespołów tego typu w Polsce. Może ten sezon pod znakiem kabaretowej muzyki przyczyni się do powstania ambitnego kabaretu w Rzeszowie? Dotychczasowe próby, łącznie z tradycyjnymi już noworocznymi szopkami rzeszowskimi, świadczyły, iż takie możliwości u nas istnieją. Obecnie powstał przy WDK zespół kabaretowy „Matador” pod kierunkiem Władysława Szwał. Nie przesądzając o artystycznym powodzeniu tej imprezy, zresztą amatorskiej, trzeba stwierdzić, iż dobre wzory z tej dziedzin twórczości estradowej systematycznie ukazywane na rzeszowskiej scenie mogą wiele naszym entuzjastom kabaretu pomóc i stworzyć środowisku odpowiedni klimat dla ich poczynania.

Estrada rzeszowska zdaje sobie sprawę, iż tego rodzaju programy estradowe są z natury

rzeczy dość elitarne i nie mogą być eksploatowane masowo. Nie mogą więc przynieść przedsiębiorstwu koniecznych dla egzystencji wpływów finansowych. Dlatego zawiera również umowy z zespołami, które pod tym względem są niezawodne i które pracują na tamte nierentowne. Obecnie występują w naszym województwie „Skaldowie” z solistką Zofią Voit, wkrótce przybędzie Czesław Niemen z zespo-

szowa znany był w całym kraju i na ogólnopolskich festiwalach zespołów estradowych zagarniał większość nagród. Kiedyś obok programów komercyjnych i przeciętnych w każdym sezonie pojawiały się spektakle ambitne, o dużych walorach artystycznych. Pamiętamy wszyscy m. in. „Julig, czyli delikatność uczuć” według tekstów Gałęzińskiego, znakomity program szekspirowski „Nie przysięgaj na księżyc”, ciekawe i oryginalne widowisko „Piszę do Ciebie” oparte na tekstach listów do redakcji, czy stylowy i bardzo nastrojowy spektakl robiony nieco w konwencji kramu z piosenkami — „Wiwat XX wiek!”. Obecnie nie zanoszą się niestety na program, który mógłby stać się wydarzeniem sezonu w skali ogólnokrajowej. Zespół nie wyjedzie w tym roku na festiwal w Olsztynie, gdyż nie ma tam nic do pokazania.

Przyczyny tego stanu rzeczy są bardzo złożone, nie chciałbym się wdawać w ich analizę. Nie zawinił tu na pewno bezpośrednio zespół, który tęskni do ambitnych zamierzeń i nowych poszukiwań. Trzeba zrobić wszystko, by pobudzić zamierające ambicje artystyczne zespołu rzeszowskiej Estrady. Trzeba chyba zerwać z tradycyjnymi składankami rewiowymi, w których artyści robią to, co mają w swych osobistych zasobach repertuarowych. Ale warto także pomyśleć o rozwiązaniu trudności i problemów pozaartystycznych, które rzutują na istniejącą sytuację.

W uchwale Plenum Komitetu Miejskiego PZPR w Rzeszowie w sprawie dalszego rozwoju twórczości kulturalnej i upowszechnienia kultury socjalistycznej na terenie miasta czytamy m. in.: „...Zaleca się Prezydium MRN podjąć starania w celu... oddania Domu Ludowego w Staroniu dla potrzeb tamtejszych organizacji społeczno-kulturalnych i mieszkańców”. Trudno odmówić słuszności temu postulatowi i trudno dziwić się niecierpliwości mieszkańców Staroniu, którzy nie mogą już od lat korzystać z własnego domu kultury. Nie mogą dlatego, iż w nim odbywają się próby zespołu rzeszowskiej Estrady, tam również mieści się magazyn kostiumów i rekwizytów scenicznych. Próby te odbywają się w warunkach igrzysk spartańskich, w zimnie i brudzie, w odległości kilku kilometrów od centrum. Wiadomo również, iż stały zespół estrady najmniej znany jest w Rzeszowie, gdyż nie ma gdzie występować — nie posiada własnej sali. Także zespoły zapraszane do miasta mogą przybyć wyłącznie w poniedziałek, gdy teatr rzeszowski jest nieczynny i można korzystać z jego sali. Sala byłego kina „Świt” i hala przy ulicy Lenina nadają się jedynie do organizowania w nich imprez masowych — i to tylko z braku innych możliwości, gdyż są tak obskurne i brudne, iż raczej zniechęcają do udziału w rozrywce kulturalnej.

Wniosek stąd wypływa oczywisty. Trzeba, by miasto wygospodarowało lokal dla Estrady, a wtedy można będzie się narazie wstrzymać z budową drugiego gmachu teatralnego. Działalność Estrady zastąpi drugi teatr. Nie jest to postulat nowy — wysuwamy go na naszych łamach od dawna i ciągle niestety jest jeszcze aktualny. Istnieje przecież lo-

Jan Grygiel

Swoi i obcy w rzeszowskiej Estradzie

iem „Akwarele” i z Adrianna Rusowicz. To zaspektoł potrzeby muzyczne i intelektualne tysięcy nastolatków w całym województwie. Dla widzów niezaangażowanych w rytmy big-beatu Estrada planuje występy „Mazowsza” oraz chce ściągnąć zespół Operetki Poznańskiej z programem „Bal w operze”. Widzowie znów ujrzą po wielu latach pierwszy nie montaż operetkowy, nie tzw. „operetkę w pigułce”, lecz pełny spektakl z wszystkimi urokami tego gatunku scenicznego. I wreszcie dla celów dydaktycznych po raz pierwszy Estrada zaprosi jeszcze w tym sezonie zespół z Łodzi z programem dla szkół (o Sienkiewiczu).

Trudno nie przyklasnąć tak pomyślanej działalności agencyjnej — daje ona publiczności w naszym rejonie ambitne, a równocześnie zróżnicowane formy estradowe i dobrze spełnia zadanie zasadnicze Estrady — upowszechnienia sztuki. Znikło już zjawisko grasowania po wioskach i miasteczkach zespołów pracujących na zasadzie „ludzie to i tak kupią”.

Własny, etatowy zespół rzeszowskiej Estrady wystąpił dotychczas z dwoma programami o charakterze składanki rewiowych. Był to program „Dzwonić — 08” i „Piosenka zostanie z Tobą”. Dalsze projekty są jeszcze dość niesprecyzowane; przewiduje się jednak m. in. wystawienie u progu sezonu turystycznego programu stanowiącego jakby folder turystyczno-krajoznawczy ziemi rzeszowskiej. Będzie to jak można sądzić, popularyzacja uroków regionu odbitych w lustrze satyrycznym, ale czasem tego rodzaju zachęta spełnia rolę pozytywną.

Nie czas tu i miejsce na szczegółowe recenzowanie wymienionych spektakli. Czas jednak stwierdzić, iż działalność artystyczna rzeszowskiej Estrady we własnym, etatowym zespole nie może poszczycić się większymi osiągnięciami. Minęły już te czasy, gdy zespół „Porfirion” z Rze-



Zespół Estrady Rzeszowskiej „Wiwat XX wiek”

(Ciąg dalszy na str. 2)

Swoi i obcy w rzeszowskiej Estradzie

Jan Pipala

Dylematy ideowej edukacji studenta

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kal po dawnym kinie „Henryka”, otwiera się możliwość uzyskania sali po Ośrodku Szkolenia Partijnego z chwilą, gdy przeniesie się on do nowego budynku, może zresztą są jeszcze inne szanse, które w tej chwili trudno dostrzec. Załatwienie tej sprawy jest konieczne dla rozwoju życia teatralnego w mieście. Jeśli sprawa sali teatralnej dla Estrady może jeszcze się trochę odwlec — to na bieżąco musi zespół uzyskać miejsce na próby w śródmieściu. W dotychczasowych warunkach nadal pracować nie może.

O sile i wartości artystycznej zespołu decydują ludzie, którzy do niego przyjdą. Nie można będzie ścigać ambitnych i doświadczonego aktorów, jeśli nie zapewni się im warunków bytowych, a więc przede wszystkim mieszkań. Dotąd Estrada wynajmowała dla artystów pokoje w mieście. Od maja bieżącego roku przestaje najmować i płacić, nie pozwalając na to nowe przepisy finansowe. Członkowie zespołu będą musieli na własną rękę załatwiać sprawy mieszkaniowe, co przy istniejącej w Rzeszowie sytuacji nie będzie łatwe. Gdyby się miastu udało zorganizować dla aktorów mały hotel o 6 samodzielnych pokojach, załatwiłoby to znakomicie problem.

Nie są to sprawy może najbardziej ważne, ale odgrywają olbrzymią rolę w kształtowaniu poziomu i ambicji Estrady. Gdy się przestanie ją w mieście traktować jak kopciuszkę, gdy się otworzy przed nią perspektywy rozwoju i umożliwi systematyczne docieranie do widzów rzeszowskich, wzrosną także ambicje artystyczne zespołu i pojawią się sukcesy nie tylko finansowe. A wtedy do dobrze zapoczątkowanej i ambitnej działalności agencyjnej dojdzie dobra praca na własnym podwórku. W przeciwnym razie zawsze będziemy mieli zespół przypadkowy lub zdeintegrowany ze skłonnościami do szybkiej ucieczki do miast, w których można artystycznie się wyżyć.

O problemach młodzieży studenckiej w ostatnim czasie mówiło się bardzo dużo. Znalazło to odbicie na różnych naradach, konferencjach i łamach prasy, a przede wszystkim na VIII Plenum KC PZPR.

Polityczny czy apolityczny student?

Wielu studentów może stwierdzić: „Nie nosiłbym indeksu, gdyby nie władza ludowa”. Nie wymaga to interpretacji. Warto jednak przypomnieć tę prawdę, by unaoocnić niejednemu studentowi, jak rośnie jego dług moralny wobec władzy ludowej. Nie stawiam bynajmniej tezy, że legitymacja studencka to jeden głos więcej za socjalizmem. Życie dowodzi, że samo emocjonalne powiązanie nie wystarcza. Chodzi o faktyczne i racjonalne związki studenta z ideą. Czy takie powiązanie u naszych studentów istnieje?

Na WSP w Rzeszowie 65 proc. studentów to członkowie ZMS, (nieco mniej na WSi), a ponad 90 proc. to członkowie ZSP. To właśnie rzeszowscy studenci rozwijają pozaprogramowy ruch naukowy m. in. w kole językoznawców. Z inicjatywy studentów zaczyna aktywnie pracować koło akademickie TPPR. Działają tu także Studencki Ośrodek Dyskusyjny dla aktywności młodzieżowej. Ma również swoją wymowę rozwój życia kulturalnego, organizacja seminariów politycznych i sesji popularno-naukowych np. z okazji 25-lecia PPR itp.

Wielu ludzi mówiąc o sprawach studenckich zwykło sugerować się postawą jednostek. Na tej podstawie powstawały subiektywne, szkodliwe uogólnienia. W ślad za tym do wielu studentów przyległa niestudnie w pewnych kręgach etykieta ludzi bezideowych, oderwanych od życia, pozbawionych zainteresowań. Student dzisiaj interesuje się sprawami życia, tym co dzieje się wokół niego. Nie jest gorszy niż jego rówieśnicy w zakładzie, we wsi, instytucji. Przytaczając ich większość bierze na siebie odpowiedzialność nie tylko za własną postawę i czyny, lecz także za postawę całych grup. Jest to pozytywne i optymistyczne zjawisko. Tym bardziej, że wszelka inicjatywa wypływa od coraz prężniej działających grup aktywnych. Aktywizacja rzeszowskiego środowiska studenckiego, jego polityczna polaryzacja, stała się faktem.

Dydaktyka i wychowanie

Kilkuletni pobyt na uczelni ma za zadanie przygotować młodego człowieka do pracy zawodowej i społecznej. W oparciu o najnowocześniejsze teorie i najskuteczniejsze metody, student przyswaja sobie niezbędną wiedzę. Potwierdzeniem zdobytej przez siebie wiedzy są zaliczenia, kolokwia, egzaminy. Brak jest natomiast takiego formalnego i faktycznego sprawdzianu, jeśli chodzi o społeczno-polityczny rozwój osobowości młodego człowieka. W pełni obiektywnym sprawdzianem nie może tu być procentowa ilość zorganizowanych studentów w ZMS, ZMW, ZSP, ich udział w czynach społecznych, kołach naukowych itp. Wszystko to tworzy przesłanki do doraźnych i zbyt powierzchownych ocen. Obiektywną ocenę umiejętności oraz obywatelskiej i politycznej sprawności, dzisiaj studenta, a jutro absolwenta, wystawia życie, praktyka. Fakt ten dowodzi potrzeby pełniejszego spełnienia przez uczelnie zarówno roli nauczyciela, jak i wychowawcy. Nie można lansować poglądu, według którego uczelnia uczy a organizacje młodzieżowe wychowują. Uczelnia w swych klasycznych założeniach powołana jest tak do nauczania, jak i wychowania. Takie też zadania spoczywają na wszystkich pracownikach nauki od profesora począwszy a na stażystce kończąc. Ruch młodzieżowy natomiast stanowi jedno z ogniw wychowawczych uczelni, lecz nie jedynie ani ostatecznie rozstrzygające.

Moment ten podkreślam dlatego, że nawet w opinii samych studentów, kadra naukowa, często partyjna, zbyt mało angażuje się w szeroko pojętą pracę wychowawczą. Kontakt pracownika nauki ze studentem sprowadza się często wyłącznie do sal wykładowych i seminarijnych. Powyższe stwierdzenia nie mogą deprecjonować roli wychowawczej ZMS, ZMW i ZSP. Wskazują zaś na konieczność pełnej korelacji wysiłków kadry naukowej i organizacji młodzieżowych w procesie dydaktyczno-wychowawczym. Brak tej korelacji leży u podstaw swoistego niedowładu systemu pracy wychowawczej z młodzieżą akademicką. System ten nie uwzględnia tak podstawowego elementu jak przygotowanie studenta do samodzielnego życia. W tym też — ze społecznego punktu widzenia tkwi istotna luka programu wychowawczego szkoły wyższej. Odczuwa to najbardziej sam absolwent. Uczelnia daje mu określony zawód, lecz nie daje podstaw do skutecznego wykorzystania umiejętności absolwenta. Jednym z symptomów tego twierdzenia jest konfrontacja wychowanka uczelni z niewyidealizowaną rzeczywistością. Ta konfrontacja staje się pierwszą lekcją, zmuszającą absolwenta do przewartościowania wielu teoretycznych sformułowań i pojęć. Dostrzega on wówczas blaski i cienie swej studenckiej edukacji.

O ruchu studenckim bez egzaltacji

Ujemne opinie, jakie daje się słyszeć o środowisku studenckim,

skłonny jestem odnieść nie tylko do samych studentów, co do organizacji młodzieżowych na uczelniach działających. W dyskusjach o postawach społeczności studenckiej często słyszy się pytanie: jakich absolwentów wychowuje uczelnia — myślących, zaangażowanych czy tylko biernie akceptujących życie? Pytanie to nie jest bagatelne jeśli zważymy, że za lat kilkanaście taką będziemy mieć inteligencję, jakich dziś wychowujemy studentów. Kształtowane na uczelni postawy zależne są przede wszystkim od walorów frontu wychowawczego. Na wychowanie składa się wiele elementów: organizacje młodzieżowe, dom akademicki, uczelnia, środowisko. Każdy z tych elementów w określonym stopniu kształtuje sylwetkę studenta. Równie ważne w pracy wychowawczej uczelni są: postawa sekretarki w dziekanacie, czy portiera w akademiku, jak i konsekwentne egzekwowanie wiadomości na egzaminie przez pracownika nauki. Uwagę swą zatrzymać pragnę na jednym z elementów wychowawczych, zbywanych często milczeniem lub niedowiedzeniem. Elementem tym jest ideowo-polityczne działanie organizacji młodzieżowych.

Przy okazji jednego z zebrań partyjnych na WSP pytałem działaczy ZMS o koncepcje ich pracy politycznej. Skarżyli się, że ta problematyka nie cieszy się zainteresowaniem. Tak np. na organizowane przez ZMS spotkanie z red. A. Szczygiorskim, przyszło tylko kilkunastu studentów. Wyrażali daleki od siebie, że studenci interesują się jedynie stroną socjalno-bytową, egzaminami. Czy poglądy te są w pełni uzasadnione? Czy społeczność studencka rezygnuje ze swej polemicznej zadziorności? Może to tylko pozorne spostrzeżenia aktywni? Myślę o żywych dyskusjach studentów w hallu czytelni i na przystankach autobusowych, a dotyczące aktualnych spraw ideowych i politycznych. Dlatego tej temperatury brak na zebraniach ZMS i ZMW, w czasie prelekcji i spotkań. Przecież to są ci sami ludzie a jakże różna jest ich postawa w czasie „oficjalnych” i „nieoficjalnych” dyskusji.

Dochożę tu do wniosku, że część studentów nie traktuje pracy polityczno-ideowej na serio. Aktywni studencki — głównie ZMS-owski i ZMW-owski nie może przejść nad tym do porządku bez prób wnioskowania w podłożu tego zjawiska. Za niepewności w pracy politycznej najłatwiej winić samych studentów. Nie ma to być jednak metodą. Odpowiedzialność w tej dziedzinie ponoszą wszyscy: aktywni młodzieżowi, władze uczelni, organizacje partyjne. Wydaje mi się że warto zastanowić się nad przemyślanym modelem tej działalności, proponując studentom do dyskusji zagadnienia aktualnie często kontrowersyjne. Może kurs na taką pracę będzie synonimem potrzebnej atrakcyjności w pracy ideowej. Może wówczas studenci nie będą unikać pracy ZMS i ZMW, które to organizacje — w odróżnieniu od ZSP — wymagają politycznego zaangażowania, nie dać w zamian ani czasów, ani zasiłków. Sądzę, że dotąd zarówno ZMS jak i ZMW

nie zdołały w rzeszowskim środowisku studenckim (i nie tylko) wypracować skutecznego programu pracy ideowo-wychowawczej. Są ten podziela najbardziej ambitny aktywni uczelni.

Kierunek — pełna integracja sili wychowawczych

Chcąc realizować swe założenia wychowawcze, organizacje studenckie powinny w pewnym sensie przewartościować niektóre formy i metody działania. Muszą też położyć większy nacisk na małe, często niedostrzegane lecz istotne sprawy życia studenckiego. Korzystając z pomocy pracowników nauki, organizacje studenckie powinny pogłębić treść swej pracy programowej Student oczekuje dzisiaj od swych organizacji praktycznego programu działania, który będzie pomocny w życiu i nauce młodzieży. Mówienie o braku doświadczenia i tradycji nikogo nie może usprawiedliwiać — wręcz przeciwnie — zmuszać winno do ciągłych poszukiwań ambitnych koncepcji i ich praktycznych rozwiązań. Koncepcje te winny bezpośrednio korrespondować z realiami i atmosferą środowiska. Daje się także dostrzec swoistą jednostronność w pracy organizacji uczelnianych — często promowanie młodzieży albo wielką politykę albo tylko zajmujemy się sprawami socjalno-bytowymi.

Ambitną organizacją studencką nie będzie nigdy ta, która troszczy się jedynie o to, by student dobrze jadł i wygodnie spał. Być ambitną organizacją studencką to znaczy tkwić w całokształcie wychowawczych i społecznych problemów uczelni. Nie tak jeszcze dawno organizacje młodzieżowe na uczelniach — tracąc energię i czas — prowadziły swoistą licytację o to, kto ma być tym od ideologii i polityki, a kto od czasów, stypendiów, zasiłków itp. Wydaje się, że przedmiotem dyskusji mogą być jedynie formy niesienia marksistowskiej wiedzy do społeczności akademickiej, lecz nigdy potrzeba czy pryncypia pracy ideowo-wychowawczej. Czad owych dyskusji ciąży jeszcze na niektórych aktywistach chcących na fałszywych przesłankach budować prestiż i rangę ruchu studenckiego. Owi pseudo-aktywiści zapominają o tym, że każda organizacja działająca na uczelni jest organizacją typu wychowawczego, uznając ideowe kierownictwo partii. Zadaniem ZMS, ZMW i ZSP jest solidarność i kompleksowo świadcząc na rzecz jednoczynnego zintegrowanego frontu wychowawczego. Swoje „ambicje i autorytet organizacje studenckie wygrywać mogą jedynie w oparciu o konkretne zaangażowanie i otwarte działanie. Do tak pojętej pracy wychowawczej zobowiązuje nas VIII Plenum KC PZPR.



Fot. M. KOPEC

Na otwarcie stawili się bodaj wszyscy członkowie Rzeszowskiego Towarzystwa Fotograficznego i liczni miłośnicy fotografii. Gości przyciągnęła nie tylko wystawa pod frapującym tytułem „Impresje dzienne”, która zyskała sobie nie mały rozgłos w kraju, ale również postać samej autorki fotografów. Witani w swym kręgu wielokrotną laureatkę nagród artystycznych międzynarodowych i ogólnopolskich, która pochodzi z Rzeszowszczyzny i dopiero obecnie, już jako w pełni ukształtowany twórca przedstawiła swe osiągnięcia w rodzimych stronach.

Mgr Kazimiera Dyakowska urodziła się w Leżajsku, w morderczym domu przy ul. Mickiewicza 4. Do rodzinnego miasta wraca chętnie z Gliwic, jej obecnego miejsca zamieszkania. Na te powroty niezbyt często pozwalają codzienne zajęcia i pasja — fotografia artystyczna, która z młodzieńczego hobby, z biegiem lat przekształciła się we frapującą, wykradającą każdą wolną chwilę pracę twórczą.

Kazimiera Dyakowska, pełna energii magister wychowania fizycznego, fotografika — tak na poważnie — zajmuje się właściwie 9 lat. Po 2 latach twórczości, już jako członek gliwickiego oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego wzięła udział w Ogólnopolskiej Wystawie Fotografiki Artystycznej, zorganizowanej w Warszawie, od której tylko dzieli ją krok do międzynarodowych salonów fotografiki. Wystawiła w Budapeszcie, Rumunii, Jugosławii. Bierze udział w Międzynarodowej Wystawie Fotografiki Artystycznej w Indiach i Salonie Portretu Artystycznego w Budapeszcie. Równocześnie jak z rogu obfitości zaczęły się sypać nagrody, wyróżnienia... Kazimiera Dyakowska w 1962 r. otrzymała złoty medal na Ogólnopolskiej Wystawie Fotografiki Artystycznej w Gdańsku, I nagrodę na wystawie oddziałowej w 1963 roku w Gliwicach, wyróżnienie i dyplom uznania na Ogólnopolskiej Wystawie w Częstochowie, brązowy medal w Krakowie, również brązowy w Lublinie, a w

Piękno

roku 1964 Medal 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i IV nagrodę w Berlinie na Międzynarodowej Wystawie „Fotoveb”. Szczyt się również srebrnym medalem uzyskanym w 1965 roku w Brukseli i II nagrodą Ogólnopolskiej Wystawy pt. „Małe Formaty”, która się odbyła w marcu 1966 r.

Z takim oto dorobkiem artystycznym mgr Kazimiera Dyakowska przedstawiła się rzeszowianom i kolegom fotografikom z rodzimych stron.

„Impresje dzienne” z podtytułem — portret — akt — nazwała artystka ekspozycją, do której przygotowała materiały przez 5 lat. Pomysł pokazania kobiety w fotografii artystycznej podał jej w swoim czasie gliwicki Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, który po otrzymaniu fotografów, jednak wycofał się za-

Tegorocznymi abiturientami, którzy z wiosną stawac będą do egzaminu dojrzałości, dokonali już wyboru kierunku przyszłych studiów. Jak wynika z ankiet przeprowadzonych przez Kuratorium Okręgu Szkolnego w Rzeszowie, 53,5 proc. uczniów tegorocznych klas XI liceów ogólnokształcących, czyli 3 599 młodzieży z terenu województwa podjął pragnienie studia wyższe. Do szkół pomaturalnych zgłosił się około 35 proc. abiturientów, 11,5 proc. nie zamierza studiować lub też w innej formie kontynuować nauki.

Obserwuje się równocześnie spadek zainteresowania pewnymi kierunkami. Dotyczy to m. in. wyższych szkół ekonomicznych, które wybiera aktualnie 38 kandydatów, podczas gdy w ub. roku na WSE zgłosiło się 117.

Dużo stosunkowo kandydatów składać będzie egzaminy wstępne na politechniki, do wyższych szkół inżynierskich. Oczywiście największy procent przypada tutaj w udziale Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie (247 kand.), podczas gdy w WSI w Lublinie startować będzie kilkunastu maturzystów.

Mniej chętnych niż w latach poprzednich notują wyższe szkoły rolnicze.

Natomiast sprawa charakterystyczna dla Rzeszowszczyzny znanej w skali kraju jako źródło kadry nauczycielskiej (co często bywa podkreślane przez Ministerstwo Oświaty): w roku bieżącym notuje się tu rekordowy nabór do wyższych szkół pedagogicznych, dokąd zgłosił się 45 proc. chcących studiować, z czego przeważająca większość ubiegać się będzie o miejsca w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie.

Równocześnie wydatnie maleje liczba kandydatów na studia prawnicze. Widać natomiast żywsze zainteresowanie perspektywami, jakie stwarzają wyższe szkoły oficerskie. Nadal, sądząc po dużej liczbie zgłoszeń, młodym wydają się atrakcyjne studia medyczne. Niemało chętnych otrzymują z naszego województwa wyższe szkoły wychowania fizycznego itp.

Kuratorium ocenia na ogół dobor kierunków studiów wyższych jako prawidłowy, zgodny z wymogami gospodarki, potrzebami oświaty i innych dziedzin życia regionu.

Pewne zastrzeżenia budzi tylko zbyt niska jakoby ilość młodzieży — niewiele więcej niż po-

łowa tegorocznych maturzystów — zamierzającej studiować z tego choćby względu, że podczas egzaminu wstępnego na wyższych uczelniach, zaistnieć może sytuacja zbyt małego wyboru tych najbardziej uzdolnionych, powołanych itd.

Równocześnie nieomal z terminem ostatecznych decyzji tegorocznych maturzystów, z podaniami o zezwolenie na przystąpienie do egzaminu dojrzałości zbiegła się akademicka sesja egzaminacyjna — pierwsza dla ich o rok starszych kolegów, których, — wydaje się, że to było

tej niesłuchanie aktualnej wiadomości, nagrody, zimowiska i inne pożądane skądinąd atrakcje przygotowane dla tych, którzy zwycięsko przejdą przez egzaminacyjny okres.

Być może, temu i owemu przypomniały się przy tej okazji praktyki znakomitych profesorów Kleinera, Kolbuszewskiego, Chwistka, Ajdukiewicza, Gaertnera, którzy oceniając w mig wartości, jakie reprezentuje młodziutki słuchacz pierwszego roku, biorąc pod uwagę niekorzystne czynniki hamujące, treść, chwilowe zaćmienie pamięci, po-

kojnie myśleć o wyborze tematu pracy magisterskiej, jego rodzice słusznie oczekiwali, iż wkrótce odpadnie im miły, lecz wcale niełatwy obowiązek utrzymywania dziecka poza domem — co przecież często ma miejsce; w statystykach zaś miejsc pracy planowanych dla absolwentów wyższych uczelni, słuchacz IV roku winien już być brany pod uwagę...

Przy absolutnym szacunku dla słusznych wymagań w stosunku do egzaminowanych, przy ogromnej wadze, jaką przykładamy do odpowiedniego poziomu opusz-

ków, przemawiających za takim stanowiskiem zarówno z punktu widzenia czysto ekonomicznego, gospodarczego, jak i szeroko pojętego aspektu społecznego.

Rozliczanie przeto poszczególnych katedr, wydziałów, głęboki, wnikliwy, rzetelny wgląd czynnika politycznego, społecznego w te właśnie sprawy byłby ogromnie pożyteczny: jakie są losy młodych, których powierzono wyższym uczelniom, wyższym szkołom, jak kształtuje się procent dyplomantów, magistrantów w stosunku do tych, którzy jak nasi najmłodszy tegoroczni maturzyści, z najlepszą wiarą w swą przyszłość, możliwości, rozpoczęli studia.

Ciągle nie do rzadkości należą wypadki, że słuchacz dwa i trzy lata czeka na przyjęcie swojej pracy magisterskiej, nie z tej przyczyny, iż jest źle skonstruowana, wymaga uzupełnień, lecz dlatego, że kierownik, reprezentujący katedrę, przeważnie bawi się granicą. Tu również potrzebne są bardziej ostre rygory, tym razem w interesie słuchacza. Być może nie wyróżnie z niego wybitny uczeń. Z dyplomem jednakże, na który uczciwie zapracował, może rozpocząć pracę w zawodzie. Może być pożyteczny.

Po latach trudów, sesji, wyczerpujących egzaminów winien chyba mieć możliwość w określonym terminie ten okres życia zamknąć.

Oby nie wyliczony, lecz zawsze z pozytywnymi zaliczeniami!

Potrzeby nagród typu ściśle sportowego, niczym dla zwycięskiego zawodnika, raczej tu nie dostrzegam...

Magdalena Bogusławska

PO ZAWÓD CZY NA ZAWODY

wczoraj — żegnali w szkole, życząc im powodzenia, samych sukcesów na nowej drodze życia.

Ci mają już za sobą wyczerpujące egzaminy wstępne, wkrócili w odpowiedzialny etap, mający ich przygotować do samodzielnego życia, do określonego zawodu. Nie ma tu potrzeby szerzej rozwodzić się nad nieuniknionymi trudnościami adaptacji w nowym środowisku, w nowych rygorach i wymogach nawet i dla tych bardziej utalentowanych.

Przyznam więc, że nie bez wewnętrznej obawy przeczytałam w pewnym bardzo poczytnym piśmie, wychodzącym w wielkim uniwersyteckim mieście już w pierwszym dniu sesji szczegółową informację o tym, iż słuchacze, którzy nie zaliczą, nie zdadzą wszystkich egzaminów w ściśle określonym terminie, zmuszeni będą niestety opuścić uczelnię, rozstać się z nią niezwłocznie. W tym kontekście jakoś mniej przekonująco wydały się, co wynikało z drugiej części

trafili przełożyć speszonemu deklawentowi egzamin na kilka godzin, na 2-3 dni, niesłuchanie kontencji, gdy w 9 wypadkach na 10 ich przezorność okazywała się słuszną, dawała pożądane wyniki. Słuchacz widząc tego rodzaju wsparcie, zainteresowanie ze strony tak wielkiego autorytetu, wychodził dość słownie ze skóry, i w tym drugim terminie maksymalnie oponowany odpowiadał bezbłędnie. Nie tylko „zaliczał”, lecz wśród rozpoczynających studia zaczął się liczyć...

To wielka sprawa, by chłopcy i dziewczęta, którzy w sposób zadowolający zdali egzamin wstępny, pozostawali na studiach. By w minimalnym stopniu dotyczyć ich mogły tego rodzaju relacje, jakie widziałabym raczej w odniesieniu do sportowych zawodników: wyliczeni w kolejnych eliminacjach, na ringu, po prostu odpadają, championi zaś otrzymują nagrody — korzystają z zimowisk, wczasowisk, mają możliwość poprawienia swej sportowej kondycji.

Niedobrze jest również, gdy na niektórych wydziałach wyższych uczelni w miarę jak upływają lata studiów, sukcesywnie ubywa słuchaczy. Lakonicznie określa się to, iż odpadają. Na wydziale biologii np. zwykło się tłumaczyć słuchaczom II roku, iż ten dopiero rozstrzygać może o przydatności kandydata, ponieważ zajęcia i egzaminy na I roku były „niesłuchanie” łatwe, bardzo zbliżone do wymagań szkoły. Cóż, można by się od biedy cieszyć, że ów moment decydującej oceny negatywnej nie został przesunięty na rok III lub IV, czyli na czas, w jakim słuchacz może już w zasadzie spo-

czających wyższe uczelnie, ciągle sprawą podstawową, której ani na chwilę nie można tracić z oczu jest zachowanie prawidłowej proporcji między liczbą rozpoczynających a kończących studia. Nie miejsce tu na szczegółowe omawianie wszystkich czynni-



Polska mozaika teatralna

Tygodnik „Literaturna Rosja” zamieścił obszerny artykuł swego specjalnego korespondenta N. Lejkina o życiu teatralnym w Polsce pt. „Polska mozaika teatralna”. W czasie pobytu w naszym kraju, autor obejrzał szereg spektakli w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu. Z dużym uznaniem wyraża się Lejkin o montażu piosenek partyzanckich, który wystawia Teatr Klasyczny pt. „Dziś do ciebie przyjść nie mo-

gę”. Dużo miejsca poświęca również „Niemcom” Leona Kruczkowskiego w „Ateneum”, w reżyserii Janusza Warmańskiego z Janem Świdarskim w roli głównej oraz „Pluskwie” Majakowskiego granej przez zespół Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Do bardzo miłych wspomnień z pobytu w Warszawie zalicza recenzent wieczór spędzony w kawiarni „Nowy Świat” na występach kabaretu „Dudek”.

utrwalone obiektywem

mówienia. Co było przyczyną nagłej zmiany decyzji? Wersji mnóstwo, słów również.

Został jednak zestaw 180 fotografii ukazujących urok dzwoneczny, kobiety, Zbiór urzekający liryczną i piękną, a zarazem dyskusyjną rozpoczął ubrów całej nieomal kampanii zakłamaną pruderii, triumfalny marsz po eksponowanych ślalach wystawowych Krakowa, Zagłębia, Wybrzeża...

— Jaki jest motywny?
— Złoty, śnieżysty czy lekko-mysłny?
— Motywny?
— Bezdolny!
(Maria Pawlikowska-Jasnorzewska)
Oto jedna z poetyckich przenośni — przerwywnik — hasło zdobiciach „Impresje dziewczęce”. Ta przenośnia memu spojrzności na wystawiane prace jest najbardziej bliska. Nieomal wszystkie spośród 130 pokaza-

nych w Rzeszowie fotografów cechuje wzruszająca liryka. P l e k n o !

Organizatorami wystawy są Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie i Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne. Mecenas si życzliwi, którzy jednak przecenili walory klubu „Energetyka” przy ulicy 8 Marca 4. Sala ta absolutnie nie nadaje się do tego typu ekspozycji. Fotografiami wymagające przestrzeni przy zachowaniu możliwości stworzenia jakiejś intymnej atmosfery — zostały porozwieszane gęsto, jeden obok drugiego. Zwiędzający wchodząc do sali ekspozycyjnej z miejsca zostaje jakoby osaczony dziesiątkami twarzy, ciał i pejzaży. Poetyckie komentarze (świetny pomysł łączenia fotografii z poezją) wybrane spośród wielu liryków, użyte zamiast tytułów poszczególnych zdjęć lub grup

fotogramów — tu są trochę „sobie a muzom”. Nie odczułam też jakiejś myśli przewodniej w rozmieszczeniu fotografów. Odnosi się wrażenie, że raczej o miejscu umieszczenia decydował format a nie temat fotografii. Brak scenariusza obniża wartość całej ekspozycji. Zacieła nieraz piękno — czyni z królewny — kopciuszka.

Temat, jak i ogólny poziom fotografów predysponują ekspozycję i do pokazania jej w Domu Sztuki. Tu byłoby jej właściwe miejsce.

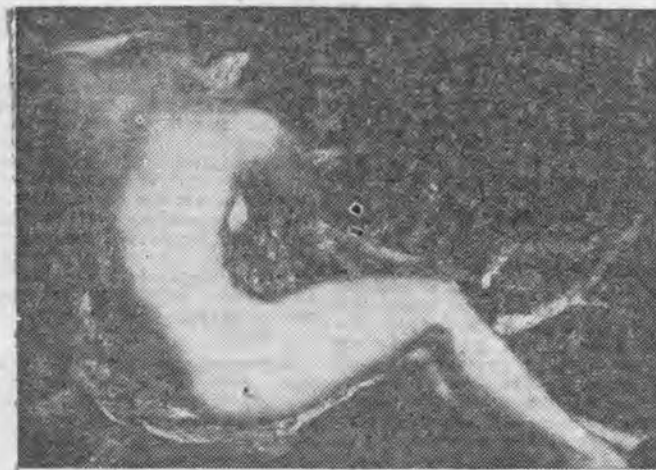
I bardzo należy żalować, że tego nie uczyniono, nawet za cenę wystawienia prac w późniejszym terminie. Również większa selekcja podniosłaby wartości artystyczne ekspozycji mgr Kazimierzy Dyakowskiej. Prawdziwa sztuka obroni się sama, to prawda, lecz niewła-

ściwe ramy ukryły niejedną już raz subtelne piękno.

Chyba warto pomyśleć o właściwej ekspozycji aktów i portretów dziewczęcych pokazanych na wystawie „Impresje

dziewczęce”. Artystyka fotografika mgr Kazimierzy Dyakowskiej na to zasługuje. Szczególnie tu w Rzeszowie, rodzinnych stronach artystki.

M. C. GUZIOLEK



Opowiadał mi znajomy o tym, jak wraz z kolegami nabił w butelkę groźnych egzaminatorów, z których najważniejszym — przewodniczącym komisji — był doktor ekonomii. — Właściwie to ja się specjalnie go nie bałem, ale jakoś głupio mi było robić w konia faceta z tytułem naukowym. No, bo wyobraź sobie tę hece — egzamin zdawał jeden za drugiego, przezwaliśmy ci, którzy studiują lub robią kursy specjalistyczne. Ja otrzymałem czwórke, a za szefa zdałem na piątkę. Mnie to chyba poznali przedstawiciele zjednoczenia, ale co im szkodzi wykazać się wysokim poziomem kadr w podległych przedsiębiorstwach. Szedłem na pewniaka, wiedziałem, że mnie nie zdemaskują. Powagę zachował tylko doktor z instytutu.

Usiłowałem sprawdzić tę relację, w której autentyczność powątpiewałem, choć wiem, że szkolenie pracowników bywa czasem nieporozumieniem. Zjednoczenie w Rzeszowie, o którym mowa, podjęło słuszną decyzję: niejako ukoronowaniem różnych form szkolenia

Zdzisław Kozioł

TO JUŻ

miał być wyżej opisany egzamin będący weryfikacją kadr ekonomicznych w przedsiębiorstwach. Doktor ekonomii z Krakowa, doskonały praktyk, czuł nad przebiegiem egzaminu. Pomysł słuszny, a realizacja? Zwyczajna farsa.

Byłem w przedsiębiorstwie mojego znajomego, prywatnie, więc nie wymienię miejscowości i branży. Wspomnę tylko, że większość robotników nie ma właściwie żadnych kwalifikacji; niemają wśród nich jest półanalfabetów. O jakichkolwiek formach szkolenia nikt nie myśli, ale podobno w sprawozdaniach o tym się pisze. Dyrektor, zapytany o tę fikcję, nie zaprzeczył ani też nie potwierdził. Uśmiechał się tylko.

W jednym z zakładów przemysłu lekkiego mówiono mi, że zjednoczenie rygorystycznie wymaga, aby zatrudnione tu kobiety zdobywały tytuły robotników kwalifikowanych. — Na opłacenie kursów — mówiono mi w przedsiębiorstwie — pieniądze znajdziemy, ale takse egzaminacyjną musi uiścić pracownica z własnej kieszeni, otrzymując w zamian papierki nie przynoszące jej żadnych korzyści, gdyż grupa zaszerogowania bynajmniej nie zależy od kwalifikacji. A sami doskonale wiemy, że szkolić załogę musimy. Rozszerzyliśmy więc program szkolenia z zakresu BHP. Np. mówiąc o zabezpieczeniu przed ogniem znajdujących się w zakładzie surowców łatwopalnych, zapoznaliśmy przy okazji z innymi ich właściwościami. Ale mimo wszystko to nasze szkolenie jest improvizacją, a wycieczonych kadr nie mamy skąd brać.

Przed takim problemem stoi wiele przedsiębiorstw, branż, a nawet w pewnym sensie cała gospodarka narodowa. Opinia publiczna dostrzega zagadnienie kształcenia na poziomie wyższym czy średnim, lecz wewnątrzzakładowe szkolenie robotników jest na marginesie zainteresowań. A tymczasem to bynajmniej nie margines, ale sedno problemu. I to z wielu względów.

Przytoczę najpierw kilka liczb. Pod koniec 1966 r. było 17 315 tys. Polaków, którzy osiągnęli wiek produkcyjny, a w gospodarce narodowej pracowało 8 741 tys. osób. Notabene jest to wysoki stan zatrudnienia. Z podanej liczby aż 61,2 proc. należy do grupy pracowników fizycznych. W ostatnim dziesięcioleciu obserwujemy znaczną prawidłowość: zwiększa się udział robotników kwalifikowanych, natomiast zmniejsza niekwalifikowanych. Tendencja ta będzie się nadal utrzymywać, ale zasadnicze szkoły zawodowe nie będą mogły sprostać zapotrzebowaniu na robotników kwalifikowanych.

Według danych szacunkowych tylko 55 proc. robotników posiada dostateczne kwalifikacje, około 600 tys. nie posiada żadnych kwalifikacji, a 1 600 tys. legitymuje się zaledwie krótkim przycuczeniem do wykonywania określonej pracy. Czy na co dzień uwzględniamy ten aspekt zagadnienia, gdy utyskujemy chociażby na jakości wyrobów? Zamiast odpowiedzi przypomnę, że w obecnej pięcioletniej podejmie pracę bez dostatecznych

kwalifikacji około 1 mln osób, przede wszystkim młodzieży. A jak już powiedziano, zwiększa się liczba stanowisk wymagających kwalifikacji; w 1975 roku ma już osiągnąć 68 proc.

W tej sytuacji zagadnienie szkolenia wewnątrzzakładowego urasta do bardzo ważnego zadania; jest jednym z warunków wykonania zamierzeń gospodarczych, a ponadto odznacza się wieloma walorami społecznymi. Nie potrzeba np. skomplikowanych badań socjologicznych, by dostrzec współzależność między przygotowaniem zawodowym robotników a ich aktywnością społeczną. Tylko wówczas możemy mówić o udziale robotników w zarządzaniu zakładem, jeśli będą znali swój fach, będą orientować się w zasadach funkcjonowania przedsiębiorstwa, co wymaga wiedzy ekonomicznej i innych umiejętności. Powtarzam sprawę oczywistą, może nawet dla niektórych banalną, ale znając pewne tendencje — niezbyt precyzyjnie określane mianem technokratyzmu kadry kierowniczej niejednego przedsiębiorstwa — trzeba zastanowić się, w jakich warunkach robotnik uzna siebie za współgospodarza zakładu. Nie popełnię herezji, jeśli powiem, że społeczna własność środków produkcji to jeszcze nie wszystko.

Chociaż powyższe uwagi jak najbardziej łączą się z tematem, to jednak powróćmy do spraw bardziej praktycznych. Na ostatnim plenarnym posiedzeniu CRZZ, poświęconym problematyce szkolenia kadr w zakładach pracy, sekretarz Rady, Czesław Wiśniewski, ujął syntetycznie całość zagadnienia, mówiąc:

NIE MARGINES

„Naszym obowiązkiem jest stwarzać szanse rozwojowe każdemu pracownikowi, by w miarę zdobywania kwalifikacji mógł on przejść do pracy bardziej skomplikowanej, wyżej opłaconej i społecznie ocenianej”.

Słowem, kwalifikacje mają warunkować awans.

Materiały ze wspomnianego posiedzenia CRZZ warto upowszechnić w dużym nakładzie, a to dlatego, że zawierają merytoryczną analizę zagadnienia, ukazując aktualny stan w konfrontacji z perspektywicznymi potrzebami. Dotychczas bowiem z reguły zwracano szczególnie uwagę na osiągnięcia w zakresie upowszechnienia oświaty... Nie na wszystkie pytania można w oficjalnych dokumentach znaleźć odpowiedź; CRZZ dokonała więc ilościowej i jakościowej analizy stanu szkolenia w 80 dużych przedsiębiorstwach. Do badań zaangażowano kilkuset aktywistów związkowych i przedstawicieli zainteresowanych instytucji i organizacji. Referat Prezydium CRZZ można uznać za wstęp do dalszych, szczegółowych badań.

Piszę o tych sprawach nie po raz pierwszy; w swojej praktyce dziennikarskiej spotykałem przedsiębiorstwa, w których doskonale zorganizowano wszystkie potrzebne formy szkolenia, a u podstaw sukcesów leżało dostosowanie programu do własnych potrzeb. Niepowodzeniem zaś kończyły się inicjatywy podejmowane przez skądinąd niegłupich ludzi, którzy nie znali jednak specyfiki przemysłu, upowszechniali oświatę robotników w oderwaniu od aktualnych i perspektywicznych potrzeb kadrowych zakładu. Z dużym nakładem sił organizowali kursy, pędzili ludzi do szkół podstawowych dla pracujących, namawiali do podejmowania studiów; nie powiem, że bez efektów, ale gdy z przedsiębiorstwa odeszli — działalność traciła na rozmachu. To byli maniacy, przynajmniej za takich ich uważano, bo na każdym zebraniu czy naradzie mówili o szkoleniu, ale nie potrafili przekonać o ekonomicznych korzyściach, jakie ono przynosi. Szkoleniem obejmowano często peryferyjne grupy pracowników, a nie tych, od których w pierwszym rzędzie zależy jakość produkcji.

Referenci czy kierownicy szkolenia byli często bohaterami reportaży i artykułów prasowych. Dla udokumentowania ich racji ukazywano aktualnych inżynierów, którzy podejmując pracę w przemyśle, legitymowali się zaledwie wykształceniem podstawowym. Nie

disponujemy jednak pogłębioną analizą, ujmującą kompleksowo szkolenie wewnątrzzakładowe jako ważnego uzupełnienia systemu oświaty i wychowania. Napisano wprawdzie na ten temat sporo prac, ale ich autorami są zazwyczaj ludzie nieznanymi przemysłu, więc te elaboraty nie odznaczają się większymi walorami poznawczymi. Z reguły dotyczą zresztą zagadnień fragmentarycznych, a nie sedna sprawy.

Sedno problemu leży w tym, że ustrój oświaty robotniczej, a więc formy szkolenia i programy oraz w znacznej mierze przepisy prawne nie odpowiadają już aktualnej sytuacji, ale często działają wręcz hamująco. Przede wszystkim szkolenie wewnątrzzakładowe obliczone jest na zaspokajanie doraźnych potrzeb kadrowych, obejmuje nowo wstępujących do pracy, którym zresztą nie stwarza się warunków do pełnego opanowania zawodu. A przecież trzeba również dokształcać już czynnych zawodowo robotników, przekwalifikowywać tych, którzy z uwagi na wiek lub zdrowie muszą zmienić pracę. Należy także uczyć jeszcze drugiego, pokrewnego zawodu, co np. w budownictwie jest wręcz nieodzowne. Coraz pilniejszym zadaniem staje się przygotowywanie niższego dozoru technicznego do kierowania pracownikami, a do tego potrzebna jest nie tylko wiedza fachowa, lecz również znajomość zasad psychologii, socjologii czy organizacji pracy. Słowem, potrzebny jest, co postulują CRZZ, jednolity system organizacyjno-programowy szkolenia wewnątrzzakładowego.

Skoro już mówię o przepisach prawnych, to dodam, że działacze oświatowi od lat nagminnie skarżą się na nierespektowanie przez pracodawców wielu postanowień, zwłaszcza określających zakres ulg dla podnoszących kwalifikacje. Bywało i tak, że doprowadzano do absurdu skądinąd społecznie pozytywne przepisy. Dowód? Proszę bardzo, chociażby zwalnianie z pracy nie mających wykształcenia podstawowego, by wykazać się właściwą strukturą załogi pod względem wykształcenia, pozbyć się kłopotu z organizacją kursów itp.

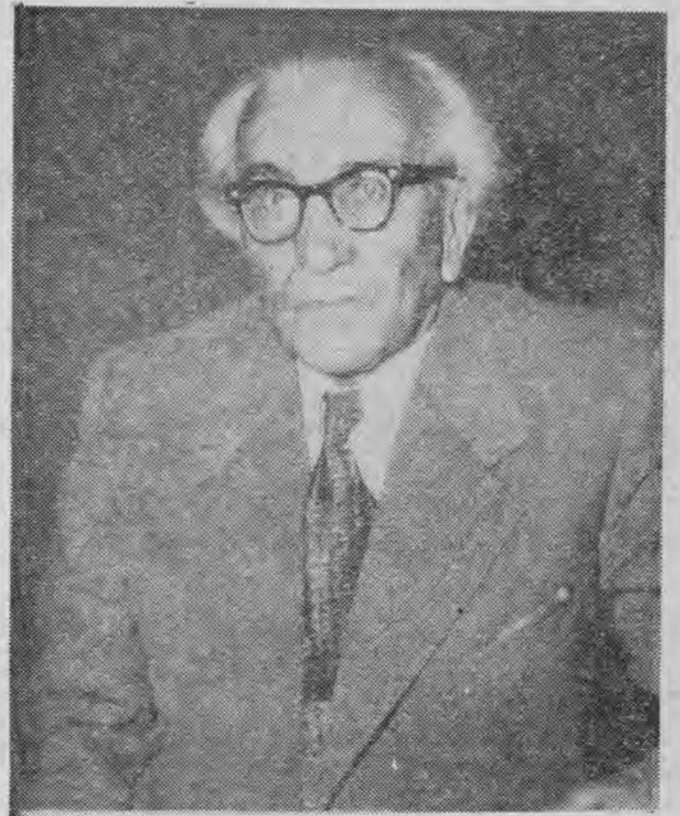
W niejednym przedsiębiorstwie po prostu obrzydono ideę zdobywania wykształcenia podstawowego, w czym niemająco nagrzętały także władze oświatowe, które nie zapewniły właściwie przygotowawczej kadry nauczycieli. Wiem, że czytając to obrazi się wielu z nauczycieli, którzy sterali życie i zdrowie, a znam takich, w oświacie dorosłych. Tak, to prawda, ale gdzie są młode kadry specjalistów od nauczania dorosłych? Za wcześnie odrąbano zwycięstwo na froncie uzupełniania wykształcenia ogólnego, zamiast szukać nowych rozwiązań programowo-metodycznych. A gdzie podręczniki dla różnych form szkolenia zawodowego na użytek tych, którzy w najlepszym wypadku skończyli większą szkołę podstawową, podejmując później pracę w nowo-czesnym przemyśle.

„Związki zawodowe — czytamy w referacie Prezydium CRZZ — powinny inspirować i zachęcać placówki naukowo-badawcze i pracowników nauki do podejmowania badań dotyczących wpływu postępu technicznego i organizacyjnego na zmiany w strukturze kwalifikacyjnej i wymaganiach na stanowiskach pracy oraz rozwoju systemu przygotowania zawodowego — form, metod i programów szkolenia. Niezbędne jest także podjęcie badań nad efektywnością ekonomiczną szkolenia wewnątrzzakładowego, metodologią planowania oraz taryfikacją robót i kwalifikacji”.

Ten fragment podnosi bardzo istotny aspekt zagadnienia, a mianowicie syntetycznie ujmuje zadania w wielu wypadkach niedostrzegane przez placówki naukowe i instytucje oświatowe; chodzi tu m. in. o cały zespół środków pomocy dla przedsiębiorstwa przemysłowego, dla kierujących nimi ludzi. A mówi się ostatnio dużo o współdziałaniu nauk humanistycznych z przemysłem, mówi się o humanizacji technik, o humanizacji pracy w ogóle. Jakże często są to akademickie rozważania, jałowy spór na temat alimentacji itp. Oświata robotnicza to podstawa humanizacji. I na tym froncie chyba najłatwiej znajdzie wspólny język humanista z technikiem, z kierownikiem przedsiębiorstwa. Ale o dalszych szczegółach innym razem.

Aleksander Żyga

JANA WIKTORA



Mały Radomyśl nad Sanem rozświetlił Jan Wiktor. Stało się to nie przez sam akt urodzenia tutaj pisarza, ale raczej dzięki częstym jego powrotom do rodzinnego miasteczka: powrotem fizycznym, coraz rzadszym z upływem lat oraz „powrotem literackim”, które, zwłaszcza w ostatnich czasach, były uczuciowym odzwierciedleniem pierwotnych. Owe „literackie powroty” Wiktor stał się niecodziennie źródłem do poznania uczuć, jakie nurtowały autora „Wierzb nad Sekwaną”, kiedy wracał do kraju lat dziecięcych. Trzeba dodać, że zakres geograficzny tych powrotów pisarza był szerszy: obejmował obok Radomyśla z jego okolicami i inne regiony województwa rzeszowskiego.

Do Radomyśla Wiktor powracał często. Tutaj spędzał wakacje podczas nauki w debickim gimnazjum, którego obraz pozostał w rozliryzowanych, ale przesłannych buntem młodzieńczym „Prześwitlonych wspomnieniach”. Nie zapomnił pisarz o swym rodzinnym miejscu i po zdaniu matury w roku 1910, kiedy po wielu latach wędrowek zamieszkał w Szczawnicy w Krakowie. Z braku nie wydanego jeszcze pamiętnika, którego fragmenty pod koniec życia drukował w różnych czasopiśmie, przypuszczalnie daty jego powrotów do Radomyśla dadzą się odtworzyć za pomocą dat, sygnowanych pod niektórymi reportażami, w których wyraźnie podkreślał, że pisał je w „Radomyślu nad Sanem”, dodając nieraz, że nawet „ze sławetnej Republiki Tarnobrzkiej”. W Radomyślu pisarz przebył kilka miesięcy w okresie wspomnianego ruchu rewolucyjnego, który aczkolwiek wywarł wielki wpływ na jego świadomość ideową, nigdy nie znalazł u niego aprobaty.

Wszystkie niemal „powroty literackie” Wiktor do Radomyśla zdradza pewną szabloność ujęcia: odznaczają się kontrastowym sposobem kompozycji. Owa szabloność pozwalała na przeciwstawienie wyglądu rodzinnego miasta i jego ludzi w czasie każdorazowych odwiedzin z obrazem Radomyśla, jaki pisarz zachował i wypiastował w swojej wyobraźni, i pamięci z lat młodości. W każdym jednak powrocie Wiktor akcentuje inny temat i dla celów kontrastu sięga do innych i odmiennych wspomnień, przypomina zagadnienia i sprawy odmiennie.

Pomijając aluzje do Radomyśla zawarte w pisanych w czasach pierwszej wojny światowej

reportażach młodzieńczych, prezentację owych Wiktorowskich powrotów rozpocząć trzeba od drukowanych w roku 1934 na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” — „Rodzinnych stron”:

„Już od mostu na Wiśloce pod Dębicą, bo o tym to sławetnym moście wspominałem w gimnazjum — przypomina Wiktor — swoje dawne powroty koleją z Dębicy do Radomyśla — każde drzewko, każdy zagon budzi serce, wyrastają wspomnienia, jak żywe — jakby dopiero wczoraj przeżyte (...). Potem ślimaczka jazda wzdłuż małych cichych stacyjek, pograżonych w zieleni i w kwiatkach sypanych pod przyciemnionymi drzewami, w których pod drzewami znajomymi z moich lat, uganiamy dzieci splecione rękami i głoszą radość bez trosk lat. A teraz w stukaniu kół biegnących do naznaczonego celu słyszę pieśń rozsadzającą ściany wagonu, jak wówczas, kiedy jechaliśmy na święta, i widzę te twarze, jak naówczas oświata, zapłakane, oczy ukradkiem ocierane, kiedy wracaliśmy do miasta na długie miesiące nauki (...).

Jak dawniej, tak i dzisiaj powitał mnie czerwienią swoją palac w Rzemieniu, siedzba poetki Druzbickiej, w oddali spoza stuletnich drzew błysnął koronką murów zamek Reyów w Rzochowie. Dalej równina jednostajna, pelająca w beznadziejność, tak bardzo różniące się od czarujących Plenin (...). Jak za czasów uczniowskich, tak i dzisiaj wspiąłem się na palcach, aby zobaczyć Sandomierz we mgłę słonecznej pogoryzły. Dawniej w czasie wakacji gnałem piechotą tyle mil, aby stanąć nad brzegiem Wisły i zobaczyć obdoby w wodzie kształt oszczędzającej przeszłości i jej chwałę. Rozmówlanemu sercu i zachwyconym oczom nie zabrakło wstępu strażnika rosyjski blaskający groźnie bagnetem w słońcu polskim. Dzisiaj stąd witał wolne mury pieśnią nie bunt i nienawiść, która była modlitwą niewolników, ale hymnem radości rozsadzającym pierś. Ze stacji podążyłem do rodzinnego miejscowości bioniem, ścieżkami tymi samymi, którymi wędrowałem jako sztabak, zostawiając na błocie i w śniegu ślad bosych pięt, wylazających z podartych chodaków. Spotykam te same, ale bardziej zgrzybiałe domki; bardziej zgarbione, podobne do ich właścicieli. Doznaję wrażenia, że nie się tu nie zmieniło, światy się wala i nowe budują, a tutaj bosy człowiek krząta się po małej gospodarce, po zagnojonym podwórzu i dalej z kłonicą skacze o skibkę ziemi, o krawędź między. Nic się nie zmieniło, tylko wzrosła troska o jutro i ubóstwo zmieniło się w nędzę. Jednak płynię San, jednako wznoszą się widmy, wśród których mnożą się krzyże i mogiły”.

Nie zmienił się, zdaniem pisarza, krajobraz martwy Radomyśla i okolic, ale zmieniło się wiele na niekorzystnie życie jego mieszkańców. Aby uwypuklić ów kontrast, dokonuje Wiktor konfrontacji swoich obecnych

POWROTY DO RADOMYSŁA

obserwacji z zachowanym w pamięci obrazem dawnego życia rodzinnego miasteczka. Dając wyraz zawsze właściwemu jego pisarstwu, buntowi i walce w obronie skrzywdzonego człowieka, po argumenty sięga do historii Radomyśla. Zanim pisarz przeszedł do ukazania ówczesnej nędznej rodzinnej miściny, nie omieszkał podkreślić panującego tu dobrobytu przed pierwszą wojną światową:

„Przed wojną panował dobrobyt. Mieszkańcy, świetni rzemieślnicy, wszędzie poszukiwani, rozjeżdżali się po całym świecie, aby przez lato przesiąść rodzinie uciulane grosze, a jesienią wracać do domu i znów z własną wyruszyć za pracą. A dzisiaj? Cała miejscowość bez pracy. Każdy dom, to jakby karta wyrwana z najtragiczniejszego dokumentu ostatnich czasów, z „Pamiętników bezrobotnych”. Przychodzą do mnie w odwiedzinach, z uściskiem dłoni i po serdecznym przywitaniu się milczą. Każde słowo daremne i niepotrzebne. Wiem, jak każdy dom żyje. Znam dzieje każdej rodziny, bolesny los i wszystko rozumie, patrząc na wynędzniałe, pobrużdzone troską, zżarte twarze, na zgarbione postacie. W oczach spojrzenie, które o nic nie prosi, nie woła o zemstę, nie przeklina, niczego nie wymaga, nikogo nie prosi o pomoc, tylko głuchą mową rozpaczcy pyta, patrząc na rzeczywistość. Czy to się odmieni (...).

Dni mojego pobytu wypełniły się po brzegi bolesną opowieścią o ludziach i stosunkach. Tutaj niemal zagaso życie. W sklepach pustki. Kupiec powiada, że rzadko kiedy sprzedaje pudełko zapalek. Nie stać na 10 groszy. Kupują na sztuki. Wiele rodzin jada bez soli. Znikąd pomocy (...), znikąd nadziei poprawy (...). Na krańcach osady dwa pomniki, z jednej strony Mickiewicz, z drugiej strony ranny legionista, obydwa są symbolem ich ofiary tak pracowitego życia. Między tymi pomnikami, jakby między granicznymi słupami, żyją ludzie skazani na zagładę, którzy wołają o pracę, którzy wyciągają w przyszłość swoje zylaste dłonie, gotowe do największych ofiar dla tej Rzeczypospolitej, dla której tyle krwi wylał!”

Naszkicowany tu obraz Radomyśla w okresie rządów sanacyjnych, którego mieszkańców nęda, ma być „nagrodą” za walkę o Polskę w legionach, przywodzi na pamięć analogiczne zjawiska odzwierciedlone w prozie polskiej przez S. Żeromskiego na kanwie tematyki napoleońskiej w noweli „O żołnierzu tułaczku”, przez A. Struga w powieści „Pokolenie Marka Świdry” oraz w Z. Nałkowskiej „Romanse Teresy Hennert” i „Graniczy”. Analogiczny wniosek, jak wymienieni autorzy, wyciągnął Wiktor z obserwacji stosunków rodzinnego Radomyśla w czasie jednego ze swoich tam powrotów.

W inny nieco sposób bunt pisarza i uczulenie na krzywdę ludzką dały o sobie znać w reportażu o Radomyślu: „Z ziemi mojego dzieciństwa”, pochodzącego z 1947 roku. Oskarżenie Wiktora skierowane jest tu przeciwko kontynuatorom sanacyjnej polityki, którzy w warunkach władzy Polski Ludowej w bestialski sposób rozprawiają się z nią, mordując najbardziej ofiarnych i walczących o sprawiedliwość społeczną działaczy chłopskich. I tutaj znowu, jak zwykle, u Wiktora odżywiają wspomnienia młodzieńczego Radomyśla, a nawet cofa się do czasów pańszczyźnianych, aby poprzez kontrast do losu chłopów pańszczyźnianych silniej uwytklił osiągnięcia jego mieszkańców w Polsce Ludowej:

„Wracałem przez ziemię mojego dzieciństwa — pisze Wiktor. — Ileż to wieków upłynęło od tamtego czasu. Wzburzone morze przeżył, wrażeń i zdarzeń między tamtym zagubionym brzegiem, a tym wyłaniającym się z oparów wojny w blaskach wschodzącego słońca. Tędy zawsze wracałem plechotą z gimnazjum do domu rodzinnego. Stół ta sama stacyjka w bżach, w kasztanach, którą mijaly lokomotywy z gwizdem żalonym, jakby z placem nieziszczonych nadziei i tęsknot giniącym w pustce. U słyszałem wspomnienie tamtego placu, który się zjednoczył z dzisiejszym. Po drodze mijalem ogromne obszary dworskie. Tutaj ongiś szeregi zgarbionych postaci trudziło się na pańskim łanie. Z wiosną szedł fernal za

plugiem i odwał skiby, a za nim krok w krok wrony, jakby mali ministrowie w czarnych komeżkach. W lecie żniwiarce podnosiły w górę garscie zboża (...). Spiekota paliła w plecy. Skwar zmieniany w pot zlewał ciało...”

Symbolem zemsty była odmalowana przez Wiktora sylwetka radomyślańskiego rodaka Szczepana Dyla, który przez całe życie walczył o dobro i sprawiedliwość społeczną.

„Często wieczorem, gdy droga moja wypadła tędy — dodaje pisarz — widziałem mieszkańca chłaiupy leżącej poza wsią, ślepiącego przy naftowym kaganku. Brał z liter ładunek dynamitu, aby kiedyś rzucić go pod zmurszałą budowlę. Siadywałem z nim na progu i gwarzyliśmy o wszystkim, co we wsi, co na świecie i wszędzie. Słuchałem jego mowy, zapamiętałem jej treść. Zdawało mi się, że słyszę jakiś manifest stworzony przez bunt, mający zagrzewać do walki i w przyszłości wyzwalać z niewoli”. Ten chłop, aby wieś uczynić szczęśliwszą, marzył o spółdzielni, o oświacie i kulturze dla wsi, o lepszym jej jutrze. „Był przestępcą, wyklinany ze społeczności wiejskiej za „nalóg czynienia dobrze”. Pogromca zła, więc burzył, bo oświecał ciemnych, więc krzywdził, bo walczył z wyzyskiem, bo wierzył w człowieka, służąc mu wiernie w każdej okoliczności. W jego szlachetnym buncie było serce skrzywdzonego ludu. Miał świadomość wartości tego ludu, jego roli historycznej, jaką musi odegrać w przyszłości. Zdawał sobie sprawę, że przebudowa społeczna i gospodarcza jest celem. Nie tylko wskazywał na krzywdę, ale walczył o usunięcie krzywdziciela przez przewrót rewolucyjny, ale dążył do ładu opartego na sprawiedliwości i braterstwie ludów.

Niestety, kiedy zdawało się, że przyszła chwila realizacji jego marzeń, zawiódł się na ludziach, został zamordowany — o czym po przyjeździe dowiedział się pisarz od jego syna. Został zamordowany za czynienie ludziom dobrze. San, miłosierna rzeka obmyła śmiertelne rany i wyrzuciła na piaszczystą łąkę, jak na całun zwłoki z wydułbanymi oczami, z obciętym językiem, z nogami porzucanymi, związanymi kolczastym drutem. W kieszeni jego znaleziono zawiadomienie o przyznaniu stypendium jednemu z synów miejscowych chłopów.

Oprócz tragedii, będącej konsekwencją przemian społeczno-politycznych i panowania złości ludzkiej, zdołał Wiktor zauważyć i drugą stronę medalu: miejsce modłów zadowolonych chłopów do św. Izydora o pogodę oraz uległość klerowi zajęła postępową gospodarką, której zewnętrznymi sprawdzianami stały się elektryczna żarówka i traktor:

„Teraz traktor rozdziera oporny grunt, maszeruje zwycięską przez polską ziemię ucieleśnioną, napojoną krwią i potem pańszczyźnianych czasów i odwał skiby, posłuszny człowiekowi, który siedzi na siodelku i według swojej woli kieruje. Bóg traktor jest zdobywcą umysłu ludzkiego i stał się własnością syna tego chłopca, który skamiał o błogosławieństwo św. Izydora i potrząsał dzwonkiem mającym głuścić pioruny i odegnać grady. Dwa pokolenia, dwa wieki, dwa zdarzenia przelotowe: socha i traktor”.

Przytoczone wyżej przydługie cytaty z reportażu Wiktora pozwalają stwierdzić, że „literackie powroty” pisarza do Radomyśla nie ograniczały się do wyrażenia jego sentymentu do kraju lat dziecięcych. Na ich kanwie odzwierciedlone zostały drogi symptomatycznych przemian rodzinnej miejscowości w ciągu ostatniego półwiecza.

Aby dopełnić rejestru „literackich powrotów” pisarza do Radomyśla, trzeba przypomnieć jeszcze urywki drukowanego pod koniec życia pamiętnika: „Mój Radomyśl” w „Zyciu Literackim” 1965 roku i „Świąteczne turki w Radomyślu”, publikowane w „Wieściach”.

Przypomniał w nich Wiktor dawne zwyczaje i obyczaje mieszkańców swej rodzinnej miejscowości oraz jego ludzi. Na szczególną uwagę zasługują wskazanie kontaktów emigrantów

z macierzą. Radomyślska emigracja stanowi motor, który sprzyja kultywowaniu miejscowych tradycji i kultury ludowej.

„Nigdzie w świecie chleb nie ma takiego smaku jak w Radomyślu — konstatuje Wiktor. — Przed paru laty przyjechał w stro

ny ojczyste syn tej ziemi, którą opuścił przed pół rokiem. Kazali mu przywieźć ze starego kraju za ocean bochenek chleba pieczonego w piecu. Trudno było, gdyż kto by dzisiaj chciał miesić w dzieży, rozpałać ogień, kiedy można kupić pieczywo w spółdzielni. Starsza kobieta upiekła według dawnych wzorów. Zabrał go z sobą za ocean, na obczyźnie. Przybyli znajomi, współbracia, otoczyli stół jak ołtarz, upajali się zapachem. Krajał bochen kozikiem. Spożywali jakby komunie. Wspominali stary kraj i plakali — wygnancy, tułaczki”.

Pamięć o Radomyślu doszła do głosu nawet w jednej z powieści historycznych Wiktora. W „Papieżu i buntowniku” szczególnie sympatyczną posta-

cią jest — pisze Józef Korpala — niejaki Jan z Radomyśla. Nie przeszkadza mi wcale obdarzać go sympatią nawet świadoma, że w opowieści bogato udokumentowanej materiałem historycznym, on właśnie, wyraził historiozofii autora, jest postacią fikcyjną, niehistoryczną, powołaną do życia jedynie sercem i wolą pisarza (...). W ten sposób Jan Wiktor chciał się odzwajemnić swojej rodzinnej miścynie — Radomyślowi nad Sanem, za widome uznanie jego pisarstwa, wyrażone nazwaniem placzyku, przy którym stoi jego domek rodzinny, „placem Jana Wiktora”.

ZYGMUNT WOJCIK Gdy idę w tamtą stronę

Gdy idę to myślę. Najbardziej gdy idę w tamtą stronę, czyli wracam już z kochanego gniazdko rodzinnego, bo niedziela się już skończyła. Muszę wtedy iść do pociągu i na drugi dzień stawić się w robocie. Z domu w tamtą stronę do stacji droga wydaje mi się dłuższa, jakby nie ta sama, ale jakaś pokrecona w różne zakręty i normalne chyba, że z tego powodu dłuższa. Mam więc czas, żeby w tamtą stronę dłużej myśleć niż w tę do domu. Do domu zresztą krok mi jakoś inaczej dudni i jestem od kolei tak szybko na podwórku, że nie ma nawet sensu zaczynać myślenia, a potem go nie skończyć. Więc tego prawie nie robię, a pewnie każdy inny też by inaczej nie zrobił, jak ja.

Właściwie nie wiem, skąd mi się to myślenie wzięło. Kiedyś właściwie go nie było i słyszeć o nim bym nie chciał. Tak samo i moja matka. Pamiętam, gdy chodziłem pięć kilometrów do szkoły, przykazywała mi po drodze nie myśleć, a najbardziej nie myśleć o głupstwach, bo bym się tym myśleniem „zepsuł”. To najlepiej, jak nie będę myślał weale ani o Kryśce od sąsiadów, ani o Weronce spod figury, ani także o grubej Lidce z końca wsi, co do nas czasem przychodziła, gdy chcieliśmy już kopać ziemniaki, albo buraki czy czosnek. Po takim przyjeździe jednej z nich chodziło się odrobić to kopanie. Wtedy chciałem sobie sam pokopać na odrobku u Lidki, ale matka mówiła, że muszę poczekać, bo jestem mały, to z mojego kopania śmiałyby się cała gromada i Lidka tak samo. Ukreć wianka z czosnku nie potrafie, a już złożyć go dziewczynie na szyję i pokazać jaki dorodny, na pewno nie. Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Tyle tylko, że mama zawsze wiedziała wszystko lepiej, to sobie pomyślałem, że i to wie pierwszorzędnie. Było mi smutno i o tym też mama wiedziała. Dziwowałem się z tego.

Więc to był znowu powód, żeby myśleć, a mama jakby wiedziała o czym mi się chce myśleć, to zawsze upominała tak samo, że bym czasem po drodze do szkoły, ani o tej Lidce, ani o tym, co robi ogier u Futryny, którego nazywaliśmy „krzywulcem” z powodu krzywych nóg, oj, że bym tylko nie myślał. Co najwyżej, gdy mi przyjdzie chęć pomyśleć, to najlepiej wtedy, że bym zmówił sobie pacierz, albo choćby zdrowaś czy ojeże nasz, a czas tak pożytecznie mi przeleci i droga. I zawsze że bym tak robił, to będę się podobał Bogu i ludziom, a nieważne, że bym się podobał kolegom czy dziewczynom, bo to teraz naprawdę nieważne i mam jeszcze dużo czasu. Już dzisiaj nie pamiętam, jak wtedy było z tym myśleniem, pewnie usłuchałem nieraz mamy, bo mi tak często przypominała o niemyśleniu, to pewnie usłuchałem. Skąd mi



RYS. J. SIENKIEWICZ

moim zamyśleniu. Sąsiad Jana Piszczeka przyprowadza wtedy na miedzę sołtysa Wojciecha Żabę, dla pogody. I pogoda jest, bo zima idzie i tak nikt między nie pójdzie poprawiać, a sąsiad wie, że wiosną będzie orał syn Jana, czyli mój dawny kolega, to on ma swoje oranie i przypuści ile trzeba ze swej strony, tak żeby sąsiad już przez całe lato sołtysa Wojciecha Żaby nie przyprowadzał, a miedza będzie wyglądać, że do ludzi to będzie podobne, kto na nią stąpnie nogą.

Więc ja idę nią zawsze jednakowo, prawie na pamięć. Kiedy odchodzę od domu, nikt już nie placze za mną, jak to miała w zwyczaju moja mama, bo jej już nie ma, to i leż zbrakło. Nie ma mnie komu żałować, chociaż nigdy nie takiego

w domu nie mówiłem, co by mogło być do żalu, a nawet z tego swojego myślenia też nie zwierzałem się mamie, bo wiem, że nawet by mnie nie skarciła, tak samo jak i za palenie papierosów też mi już od dawna nie mówiła. Idę tak i myślę, że wszystko mi się przez to wyjeżdżanie jakoś rozdzieliło, sam jestem jakby z dwóch połówek i kto wie, czy równych. I myślę nawet, że moje połówki, z których jestem, to pierwsze połówki nierówne na świecie, chociaż połówki, a śmiać mi się chce bardzo do siebie samego. Dobrze, że nikt o tym nie wie, tylko ja sam, bo pewnie by się też wysmiał, tak samo jak nieraz w szkole nauczyciel, że niby mniejszą i większą połówkę to ja mam tylko w głowie, i on żałuje, ale w mniejszej mam zaledwie trochę oleju. Wydawało mi się teraz, gdy idę, że nawet mógłbym się cofnąć. Gdyby mnie teraz zabolala noga, zebrała drzemota albo co innego, to wróciłbym z powrotem do domu i w nim został. Nie wiem nawet, kiedy znowu zebrałbym się w sobie, żeby iść do stacji. Być może, stałoby się to za późno, pociąg by nie zaczekał i zostałbym w domu na zawsze. Tak sobie myślałem nawet, że gdybym zaczął utykać na nogę, to na pewno nie poszedłbym przed siebie, tylko do tyłu, bo do tyłu mam bliżej.

(Ciąg dalszy na str. 7)

U naszych przyjaciół

Z S R R

Uczniowie i absolwenci Akademii Baletowej z Moskwy przebywali ostatnio w Paryżu w związku z uczestnictwem poza konkursem na V Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Baletowej i zachwycili swym wykonaniem uczestników festiwalu do tego stopnia, iż jury wbrew wszystkim zasadom proceduralnym postanowiło przyznać im „Grand Prix” miasta Paryża.

Dzienniki paryskie wysoko oceniły wykonanie radzieckich artystów. „Młodzi moskiewscy artyści baletowi pokazali nieskazitelną styl i wielki arty-

styczny sens” — pisał dziennik „Le Figaro” — dlatego trzeba pogratulować ich wykładowcom i twórcom wielkiej szkoły Teatru Wielkiego.

„Le Figaro” szczególnie podkreślało sztukę artystyczny Mariny Leonowej i Margarity Drozdowej. „Pod względem technicznego wykonania ci młodzi ludzie niczym nie różnią się od dojrzałych artystów” — pisał „Le Monde”.

Paryska Akademia Tańca postanowiła przyznać solistom radzieckiego baletu po 2 równorzędne nagrody. Z Francji młodzi radzieccy artyści baletowi

udali się na gościnne występy do Londynu, gdzie m. in. wykonano fragmenty z baletu Czajkowskiego „Jezioro łabędzie” i utwory Prokofiewa i Rachmaninowa.

Ich pierwszy występ spotkał się z zachwytem publiczności londyńskiej i wysoką oceną prasy.

Olimpiada w Meksyku stanie się również wielką manifestacją kulturalną. W czasie igrzysk olimpijskich przebywać będą najznakomitsze teatry świata. Swój udział zapowiedział Zespół Teatru Wielkiego z Moskwy.

Meksyk ma pokazać 2 oryginalne balety: „Balet pięciu kontynentów” i „Południowo-amerykański balet”, oparte na tańcach ludowych wszystkich narodów Ameryki Łacińskiej.

Oprac. Henryk Róg

Ludmiła Pietruszkowa



Są jeszcze takie miejsca
gdzie i strumyk i wierzba
gdzie chłodny dotyk rosy
przyjazna miękkość traw

I nagle w ciszę
wbity klin świstu
i przewiercony bólem mózg
i w kłębku nerwów
krzyk protestu
przyziemny płaz
ognia wytryskiem
przeciął
granicę dźwięku

niełatwo glob swój
rzucić jak jabłko

Wtopiona w zapach kwiatów
w drgającą falę ciepła
smakują bliskość ziemi

Czesław Piotr Kondraciuk

Kwiatów Ci nie przyniosę

Kwiatów ci nie przyniosę
moje kwiaty nie zakwitły jeszcze
zagłuszył je kłujący oset
swoim ostrym szelestem

przyniosę tobie krzyk bogów
ich wielką kamienną rozpacz
i nieprzebyte drogi
którymi sami

musimy sprostać.

Początek rzeczy

Taki będzie początek rzeczy
liść uschnięty w kolorze światła
kołtysanie trawy na wietrze
i zmęczona przy łóżku matka

Będą długie bezsenne noce
w których życie zacznie dojrzewać
smak goryczy cierpki jak ocet
oraz księżyc uśpiony w drzewach.



Jan Bijak: WESELE W TAKI MROZ. KIW s. 252, cena zł 14.

Książka składa się z 14 szkiców będących ilustracją ludzkich losów i przeżyć w czasach współczesnych. Wcześniej były one publikowane w tygodnikach: „Nowa Wieś” i „Polityka”. Bohaterowie, sytuacje, w których występują oraz ich język — są autentyczne.

George Bernard Shaw: ŻOŁNIERZ I BOHATER. Przel. F. Sobienowski. PIW s. 143, cena zł 10.

Największy dramaturg angielski

czasów poszepepirowskich, laureat Nagrody Nobla, jest autorem wielu sztuk teatralnych. W wymienionej rozpoczyna kampanię przeciwko przestarzałym ideałom. Walczy z nieżyłością, romantyczną koncepcją wojny i żołnierza. Utwór zatwierdzony dla szkół średnich.

Claudie Fayeln: AL HAKIMA. Przel. Julia Matuszewska: „Iskry” s. 241, cena zł 9.

Trzecie wydanie niezwykle ciekawych obserwacji Francuzki-lekarki, która przez jakiś czas przebywała w Jemenie. Bezpośrednia, reporterska relacja o podróży, ludziach i ich obyczajach.

Hans Scherfig: STRACONA WIOSNA. Wyd. Poznańskie s. 182, cena zł 14.

Autor — bardzo poczytny, współczesny postępowy pisarz duński. Prezentowana książka podejmuje temat wychowania młodzieży. Ciężka satyra, pisana lekko i z humorem, urzeka czytelnika błyskotliwością i spostrzegawczo-



Raz w miesiącu dla czytelników „Świeczki i ogarka” jako premia — horoskop.

NA STYCZEŃ (zaległy)

Dzieci, które się natenczas rodzą, miewają dobrą pamięć i dobrą przezorność za dowcipem, do bogactwa przychodzą, dobra po zmarłych, po krewnych dostawają, a osobliwie dzieci męskiej płci bywają smutni i melancholiczni, w naukach się kochający, w młodych latach się żenią, a to wszystko tym lepiej, im lepsze aspekty natenczas panują. W 30 lat dochodzą do lepszego bytu. Córka, która się natenczas zrodzi bywa chytra, od wody niebezpieczeństwa też strzec potrzeba, pierwszego męża przeżyje, a od czworonożnego zwierza szkodę podejmie.

NA LUTY

Synowie potenczas się rodzący bywają do nauk skłonni, śmieli, chytry, nikomu, tylko sami sobie wierzą, z swojej się umiejętności chlubią, wiele wędrują, aż do bogactw przez cudzoziemców dochodzący. Córka zaś gniewliwa i zwadliwa, przyjemna u ludzi miewa szczęście.

Horoskopy „Świeczki i ogarka” są dziełem najcięższych umysłów astrologicznych wszystkich czasów.

Jest to nasz skromny wkład, nie gwoli samowoli, a gwoli opartego na naukowych przesłankach miesięcznego planowania rodziny.

Od Was zależy szczęście Waszych pociechl Pretensje, reklamacje, odwołania, kierować do gwiazd...

GENTLEMAN!

... śmieje się z tych dowcipów — są angielskie

Nauczyciel: — Co otrzymujemy z owcy? Uczeń: — Wełnę.

Nauczyciel: — Dobrze, a co robimy z wełny? Uczeń: — Nie wiem.

Nauczyciel: — A z czego zrobiony jest twój sweter? Uczeń: — Mój sweter zrobiony jest ze starego swetra mojego ojca.

Felczer: — Panie, wstawaj pan, dość tego spania, czas zażyć pigułkę nasenną.

Sławny bokser wszedł do restauracji, wieszając płaszcz na wieszaku, przyczepił doń kartkę:

— Ten płaszcz należy do słynnego boksera, który zaraz wróci. Kiedy wróci, na pustym wieszaku wisiła kartka:

— Teraz twój płaszcz należy do słynnego długodystansowca, który tu już nigdy nie wróci.

Pewna intelektualistka, zmuszona była wsiąść do przedziału dla pałaców, gdzie jakiś mężczyzna palił fajkę. Dama zaczęła od pouczeń o szkodliwości palenia, gdy to nie pomagało, po dłuższym wywodzie zakończyła:

— Gdyby pan był moim mężem, podała-bym panu truciznę.
Pałac po długim namyśle odparł:

— Gdybym był pani mężem chętnie bym ją zażył.

Egzaminator: — Czy pytanie sprawia panu kłopot?
Student: — Nie, raczej odpowiedź.

JAK ZŁAMAŁEM SOBIE KARIERĘ

(WYZNANIE SFRUSTROWANEGO)

Towarzystwo było mile. Jednym zdaniem, udana herbatka w swoim gronie. Monolog zaczęła żona na ulicy:

— Jesteś mięczak i niedorajda. Wstyd pokazać się z tobą w towarzystwie. — Taki inżynier Koperta to pozycja. Człowiek z inicjatywą. Zjednoczenie zawdzięcza mu sprzedaż 50 ton wykalcezek do Hondurasu. Pasowały do dziur jak ulal.

... że kręta. Ty w teatrze się też kręcisz; Albo taki dyrektor Lampion, nowoczesny kierownik placówki! Za 2 lata domek rodzinny z ogródkiem, simca, karakuly dla żony.

... udowodnił? — ... że zaangażowany! — Nawet Tadzio Dywan bez szkół i papierów, a rodzina co rok na Bałkanach, na fiata wplacili, hodowla jemioluszek kwitnie.

... że żłopie. To za swoje! — A może ty za spódniczkami się uganiaasz? To dziedziczne, mamusia nieboszczka też miała takie zezowate szczęście z tatusiem.

Nie jestem nawet Dywanem, mam szkoły i papiery. Postanowiłem udowodnić małżonce, że nie uganiam się za spódniczkami, a karierę zrobię. Prezes przyjął mnie laskawie.

Zmiana profilu, przetasowania kooperantów i odbiorców... Interesujące!

— Otrzyście mi pot z czoła — poleciał prezes. Usiłowałem jak najdelikatniej, ale kropla prezosowskiego potu spadła na biurko.

— O, najmocniej przepraszam pana prezesa. — Nic nie szkodzi, mówcie dalej kolego — Co przesunąć na III wydział, a co do działu zakrętek i z kim kooperować?

— Ależ prezesie — wyjątkiem, na wydziale zakrętek same osiągnięcia, wzrost produkcji o 15 procent. Nie ma reklamacji.

— ... Dość tych żartów — uciął prezes — powiecie to kontrolerom. Myślałem, że można się z wami dogadać, no powiedzmy, pół na pół.

Milczenie przerwał prezes, ze złością wykrzywiając usta.

— Tak, tak, wy nawet potu z czoła wycierać nie umiecie, możecie odejść. To mnie zgubiło. A wszystko przez te przegrane kaloryfery.

WAŻNE DLA MUŚNIĘTYCH POCALUNKIEM MUZY

Na adres „Świeczki i ogarka” można i należy przysyłać: wierszyki rymnięte i tzw. białe — czyli logarytmy; szarady, zagadki, jak również prozomanię i antymanię, które nie znalazły należnego im uznania w żadnej redakcji.

Szczególą sympatią darzymy i darzyć będziemy dzieła twórców, które znalazły gorący aplauz na imieninach u cioci i tym podobnych uroczystościach rodzinnych. Można również nadsyłać: pogroźki dobrodusze, laurki oszczercze i anonimowe pozytywne.

Najaktywniejszych „Świeczka i ogarek” wyróżni statuetkami odlanymi z brązu. Obojętni otrzymają obojętne detale z obojętnej materii według projektu wybitnego w Rzeszowie artysty-plastyka. Nazwisko i adres znane wszystkim.

Jury zastrzega sobie rozdział nagród po kumotersku.

GAJ I KOT
Sp. z ograniczoną odpowiedzialnością

ZYGMUNT WOJCIK

Gdy idę w tamtą stronę

(Ciąg dalszy ze str. 5)

to, ale nie próbowałem jeszcze. Już mnie tu tyle lat na stałe nie było, myślę, to właściwie co mnie to wszystko obchodzi, mamy nie ma, to mnie nie obchodzi. Poszedłem, gdzie indziej i tam jest mi dobrze, to jest szczęście moje prawdziwe, takie samo jak tutaj miałem, miastowe mam. Teraz jestem kimś innym takim, już nie jestem Zabawa Alfred, tylko inny Zabawa i inny Alfred dla tamtego Zabawy Alfreda obcy, może nawet wróg. Bo jak się przyjrzy na swoje ręce, na ramiona i nogi, na siebie całego, to wyglądam zupełnie jak jakaś liszka czy gąsienica, co ze skóry oblezie w swoim życiu, czy chce czy nie chce. Kiedyś wydało mi się nawet, że to wspaniale. Nikt mnie nawet poznać nie potrafi, a jeśli nawet, to z dużym kłopotem. Może mi być z tym dobrze, a u nas na wsi najbardziej, bo jak ktoś obcy, to zaraz inaczej do niego mówią i świetnie na niego patrzą, że nie mu nie będzie nawet gdy da w japo na zabawie, aby był tylko obcy naprawdę, a nie z drugiej wsi, co go rozpoznać można.

To już myślę, nie jestem ja ten sam Zabawa Alfred, kiedy miałem pełny ogródek kwiatów razem z siostrą, kiedy przegrzywałem w zębach młode żyto i wiedziałem, że jutro albo pojutrze będzie dobre do košby, albo jeszcze wiedziałem, że jak się starego konia chce sprzedać dobrze na jarmarku, to trzeba mu w dołki pod ślepiami nadmuchać powietrza strzykawką, to będzie miał pełne i nikt nie pozna, że stary i tylko kopyta mu wyciągnąć. I jeszcze więcej, dużo więcej wiedziałem.

Idę i niczego nie żałuję. Tylko matki. Teraz niczego. Tak bym powiedział każdemu, kto mnie zapyta, bo ludzie tutaj bardzo mnie lubią i o to pytać ogromnie, więc wiem jak mówić i tak mówię, że niczego nie żałuję. Myślę wtedy, że jest tak naprawdę i wydaje mi się, że jest mi tam doskonale i dużo świetniej niż mi było tutaj. Ja nie nie mówię, najwyżej czapkę na bakier sobie przesuń. Nie wspominać przecież ani o kółgrze bzu, ani o polizaniu mojego psa, gdy tutaj przyjadę, co dla mnie warte jest więcej niż cała moja wypłata i premia, i jeszcze jedną wypłata, i to ubranie, któremu tak blisko się przyglądają i po wiele razy pytają ile kosztuje, żebym w końcu się pomylił i powiedział prawdziwą cenę, niższą, jak zwykle mówię. Znaczący wtedy to także, że mnie na lepsze nie stać, chociaż to podoba się każdemu, jak diabli. Nie wspominać też o tym, że gdy idę to myślę o przemysłach moich

latami, gdy tu byłem razem ze wszystkimi, o najlepszym i najgorszym, ale nigdy im tego nie powiem, bo zaraz by mnie wyśmiali w kułak, a baby w chustkę od nosa. Powiedziałoby, że wyładowałem jak Zabłocki, że tam się listwie ledwo na zupie, a nie żyję porządnie i mam tyle pieniędzy, że za nie mogę sobie kupić co chcę, a przynajmniej motor za kilka miesięcy. Zdążyłoby się najmocniej, gdybym im powiedział, że nie o motorze myślę i nie o leżeniu na miękkim łóżku ze sprężynami. Gdy idę to myślę, jakby się ułożyć w trawie na pustej i niekoszonej łące zamknąć oczy przed palącym słońcem, i tak leżeć w słoneczną moją porę, aż mi się to znudzi bardziej niż największy uropek, bardziej od czytania długiego listu, i jeszcze bardziej od śpiewania na weselu, co lubiałem robić i słuchać, ale mniej, jak leżenie w trawie, choćby nawet zaczęli śpiewać takie piosenki — „Mówiła mi Kasia, że mi dobrze stoi prasowany kołnierzyk u košzuli mojej”. To mi się zresztą nie podobało.

Nie mówię im wcale jak myślę. Ani o tym też nikomu się nie przyznałem, że bardzo lubiłem kopać ze wszystkimi ziemniaki. Paliło się ognisko, ziemia świeżutka, ziemniaki piekło jak na rozkaz, dziewczyny tarzałyśmy ile się komu chciało i można je było łapać, jak była chęć. Nic wtedy nie bronili, a każda, nawet taka, co przy niedzieli czy nawet w taki dzień, gdy się do niej poszło i nie dała się nawet za rękę potrzymać, to teraz była kochana, ale to każda, jakby zaczerpował. Dziwowałem się, że to tylko tak na kartofliśku, a gdzie indziej nie, bo później nawet jak sprawdzić chciałem, to już było, nie, inne były. Nie mówiłem o tym nikomu. Może zaraz powiedziałoby, że mi tam dziewczyn brakuję, albo mnie nie chcą, albo znowu ja nie potrafię żadnej tak podgadać i podgodzić jej, że byłaby moja i dla mnie tylko. Więc milczę, czasem się uśmiechnę, ale to tylko do chłopaków, gdy pytają: — Powiedz Fredek, jakie są?

Po co mi mówić o czym myślę, gdy idę w tamtą stronę. W nogach mi już coś zaczyna drzeć, jakby pasikoniki podskakiwały, ale już wnet dojdę, to powoli się uspokoją, opadną do samych pięt i znikną nie wiadomo gdzie. Mam czas zaw sze pomyśleć i o nich, ale tego nie robię, gdy idę. Dopiero, gdy zajdę na miejsce, usiądę i mam spokój.

To jak idę przypomina mi się jeszcze Agnieszka Działko, ta sama, co kiedyś urwała mi rękaw u nowej košzuli, ale to było dawno i nieważne. Teraz przypochlebia się i mówi, że

bym się nie gniewał, a przecież nigdy się nie gniewałem, bo mi się dranica podobała, a z powodu urwanego rękawa, to nawet była lepsza i już mniej po mnie brykała, bo rękaw dla niej urwany był jakby zadaniem na powagę i uszanowanie moje. Teraz więc, gdy przyjadę, dranica wyrosła ze wszystkich stron ślicznie, że niejedna gospodyni zyczyłaby sobie, żeby takie bochenki chleba rosły, albo bułeczki pulchniutkie, tak wyrosła i wypiękniała Agnieszka, aż dla podziwu mojego. Ale ja nic nie, mówię tylko Agnieszka do mnie, no bo z miasta jestem, to wypada do mnie mówić i o coś mnie prosić. Więc o byle co, o zapalki czy zapiczenie zartaski z tyłu sukienki, gdzie dostać nie można, albo jest trudno i trzeba ręce wykrzywiać po cyrkowemu, tak próbuje się otrzeć o mnie, jak nigdy, z bliźniutką mnie podejść i huknąć do ucha, żeby postraszyć. Ja tam się nie boję i mówię jej to nieraz, żeby wiedziała, ale tylko tyle jej mówię, nawet nie przypominam nic z żadnego wieczoru sobotniego czy niedzielnego, czy też czwartkowego, albo wtorkowego, to znaczy gdy się do panien u nas chodzi, nie jej nie przypominam, ani jedną literką, na którą się to wszystko zaczyna, bo wtedy była dranica i dotknąć się nie dała z ważności swojej wielkiej i sama nie wiedziała z czego jeszcze, ani ja też tego nie wiedziałem dobrze, tylko mi się śniło raz po raz i nocy takiej nie było, że wszystko się już zaczęło pięknie i nigdy się nie skończy, żeby tylko tego chciała. To z tamtych wieczorów właśnie nie jej nie dają rozpoznać ani przypomnieć, a ona sobie tańczy ile chce, już tak blisko, jak kiedyś było daleko, przy mnie samym, na co kiedyś nigdy bez snu nie udało mi się u niej wyprosić. To sobie teraz krąży koło mnie ze słówkami prawie tak pięknymi, jak moje były, mówione powoli, do samego ucha, żeby tylko słyszała, nawet gdy się jej tego słuchać nie chciało. Teraz do mnie te słowa leca, malusińskie, każde wytoczone na glaziku, jakby żeby się człowiek jeść złapał, a przecież ponadto więcej nie potrzeba. Tak mnie tym zachodzi z tej i tamtej strony, zupełnie jak zająca otoczonego w kołie, aż mu się w głowie zakręci i zakotłuje, to mnie tak samo i żeby się tylko odezwać dobrze dla niej, coś pomyśleć i wydać się z tym, co u mnie w głowie się przewraca i co może być dla niej ciekawe, jakby o wszystkim to było, co tylko się można dowiedzieć na swój temat. Ale ja nie wiem jeszcze nie, bo z myślenia swojego nikomu słowa nie mówiłem nigdy i powiedzieć nie mogę, może dopiero po tym, gdy będę szedł w tamtą stronę, to wszystko sobie po cichu jeszcze raz wezmę do głowy, że ani Agnieszka nie będzie wiedzieć o niczym i o tym także, ile dobrze i przemilczę, myślenia będę miał w drodze, aż dojdę na miejsce, tak długo.

ZYGMUNT WOJCIK

(Fragment powieści „Kochany”, która ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej). Otrzymała ona III nagrodę w konkursie na debiut prozą, zorganizowanym przez ZG ZMW i LSW).



Wszelchnica Telewizyjna prezentuje zwykle swoje tematy jako cykl. Myślę, że to słuszną zasadą, bowiem na ogół podejmuje zagadnienia, które wyczerpują dopiero kilkakrotne omówienia. Waga tych zagadnień bywa różna i obejmuje bardzo rozmaity zakres naszych zainteresowań. Ostatnio podsunęto nam cykl „Przed milionami lat”, w którym nacią przewodnią jest prezentacja naszych przodków. Było więc o gadach, dinozaurach, słowem — paleontologii. Wierzę, że z punktu widzenia naukowego cykl jest opracowany bezbłędnie i interesująco prowadzony, toteż nie w jakości materiału oraz sposobie jego podania widzę problem. Leży on zupełnie gdzie indziej: mianowicie w nazbyt szerokim doborze faktów prehistorycznych, który do tej pory jest lekcją interesującą nader szczerze grono telewidzów; do tego lekcją nazbyt specjalistyczną. Sądzę, że o wiele ciekawszy byłby cykl, poświęcony temu samemu zagadnieniu historii naszego przodka, oparty o doktryny naukowo-filozoficzne, że o wiele bardziej interesowałyby nas sprawy sporów nie sprzed milionów lat, lecz te bodaj z ubiegłego wieku, kiedy doszły do głosu teorie wstrząsające nie tylko nauką, ale przede wszystkim świadomością homo sapiens. Tak więc ciekawy w założeniu cykl rozmienia się w szczegółach, które pasjonują przede wszystkim paleontologów.

Ciekawą natomiast lekcją kulturalnej rozmowy tychże ludzi myślących przyniósł po długiej przerwie kolejny „Wieczór przy kominku”. Myślę, że była ta lekcja przeznaczona dla wszystkich. Bo oprócz tematów samej dyskusji była jednocześnie lekcją uroczego, nie natrętnego savoir vivre'u — prawdziwą gawędą, która w żadnym wypadku nie sprawiała wrażenia wyreżyserowanej w szczegółach. Kiedy przypomniły sobie program rozrywkowy Kobieli i Toeplitza, gdzie pomysł miał rodzić się na naszych oczach i rozdzielił się w ogniu nieporządku z przymieszką nonszalanckiej pewności siebie dwójga twórców i w jakiejś mierze przyrównamy go do spokojnej, lekkiej, dowcipnej gawędy przy kominku Rudzkiego z Holoubkiem — wcale nie będzie trudno nam odkryć, że dobre aktorstwo pomaga improwizacji na pewno, lecz jej podstawą jest zawsze inteligencja połączona z umiarem. Sam temat zaś gawędy; o różnicach aktorstwa teatralnego, fil-

mowego i telewizyjnego, o wladowni teatralnej i telewizyjnej, dotyczył nas wszystkich, był częścią prawdy o nas, widzianych oczami człowieka sceny. Gdyby tematem odbioru teatru zajął się socjolog — otrzymalibyśmy zapewne najbardziej pasjonującą pracę z tego zakresu...

I kiedyś już przy teatrze — zatrzymam się na chwilę, by z tych 4 spektakli, któreśmy mieli w przeciągu 7 dni, wyluskać choć jeden rzeczwiście pasjonujący. Nie wiem, czy rzecz mi się uda, bo każdy, zawierając niezłe elementy literacko-teatralne, gdzieś tam po drodze zmieniał to wszystko w nudę lub nieporozumienie. Najgorzej ocenili by mi wypadło widowisko niedzielne Jerzego Stawińskiego „Rozwód” w reżyserii Jerzego Gruzy. Było naiwne, sztampowe, słabe właśnie w scenariuszu. Gruza przydał mi napisy jak w starym kinie, co wcale, a wcale nie wydało mi się ni dowcipne, ni konieczne; co raczej wydłużało i tak zbyt długą intruzkę. Druga już komedia współczesna wcale z tej próby prezentacji comiesięcznej nie wyszła dla mnie zwycięsko, choć kryło się za nią kilku twórców z nazwiskami budzącymi zaufanie.

W Teatrze Telewizji — a więc w tym, który był zawsze najwspanialszy, Antczak wyreżyserował „Trzy siostry” Czechowa. Spektakl był pomyślany jako tragedia nader ekspresyjnie podana i najwyraźniej widziałam w nim poprzesuwanie akcenty znaczeniowe. Poza tym był nierówny aktorsko; obok świetnej Małguszy — Barańskiej i takiegoż Wierszyna — Jasiukiewicza, obok znakomitego Andrzeja — Gogolewskiego — zupełnie nijakie były obie siostry, a wszak to na nich spoczywa ciężar sztuki.

I jeszcze teatr katowicki przygotował widowisko-reportaż J. Zielińskiego „Nie będzie zwycięstwa, generale” o klęsce niemieckiej pod Stalingradem, ciekawe acz mało odkrywcze teatralnie: a Studio Współczesne z Wrocławia — widowisko Muskat-Fleszarowej „Dialog z minionym czasem”, rażące naiwnościami.

Z publicystyki niewiele da się odnotować poza „Refleksjami”, poświęconymi tym razem młodym i problemowi ich samodzielności. Ale o „Refleksjach” często, nader często można dobrze pisać i wszyscy czekamy na ten dwutygodnik z wiarą, że lepszego nic i nikt poza Ambroziewiczem nie był w stanie zrobić. Natomiast Bolesławowi Michałkowi z Kina Krótkich Filmów zawdzięczamy znakomity reportaż o Siedlcach, gdzie jego twórca — Janusz Kidawa wymieszał starannie humor z wszechstronną obserwacją obyczajową, ekonomikę dnia dzisiejszego z historią i powstał z tego melanż prawdziwy oraz pełny portret miasta.

I to mniej więcej byłoby wszystko, co można o minionych 7 dniach powiedzieć, poza tym jednym, że kibice sportowi będą chodzić od wtorku niedospani, bowiem zapłonął olimpijski znicz w Grenoble i zaczęła się jedna z najpiękniejszych imprez świata. Uroczystości z jej otwarcia transmitowała Eurowizja technicznie idealnie — jeśli tak dalej pójdzie — przyjemność z tych późnowieczornych transmisji będzie ogromna.

KRYSTYNA

ścią psychologiczną autora. Dobra książka, tłumaczona na wiele języków europejskich.

Edouard Peisson: SÓL MORZA. Tłum. T. Borysiewicz. Wyd. Morskie s. 175, cena zł 15.

Książka jest kontynuacją najlepszych tradycji marynistycznych w literaturze światowej. Głównym problemem, który interesuje pisarza jest zagadnienie winy i odpowiedzialności u ludzi morza. Kanwą rozwoju wydarzeń stała się tu tragiczna katastrofa morska.

Eugene Ionesco: TEATR. T. 1-2. PIW s. 397, 529, cena zł 100.

Staranne wydanie 13 sztuk Ionesco, opatrzone wstępem M. Piwińskiej i postawieniem J. Błońskiego. Znajdziemy tu utwory najbardziej charakterystyczne dla twórczości pisarza, jak „Lysa śpiewaczka”, „Kubusia, czyli uległość”, „Nosorożca” i in.

Ernie Bradford: WEDRÓWKI Z HOMEREM. Przeł. E. Werfel. „Iskry” s. 215, cena zł 15.

Jest to komentarz do „Odysei”, rekonstruuje trasę podróży Odyseusza. Autor, pływając po Morzu Śródziemnym z „Odyseją” w worku podróżnym, zastanawiał się, ile w niej tkwi prawdy i jak rozumieć home-rową geografii i sztukę żeglarską jego bohatera.

Franciszek Maksymilian Sobieszczanski: WARSZAWA. Wybór publikacji. T. 1-2. PIW s. 454, 628, cena zł 95.

Konrad Zawadzki przygotował do druku teksty Sobieszczanskiego, najpracowiłszego i najsumienniejszego dziejopisa Warszawy połowy XIX wieku. Te artykuły, szkice, rozprawy, zamieszczał Sobieszczanski w ówczesnej prasie, popularyzował wiedzę o stolicy i uczył umiłowania jej przeszłości.

Karolina Beylin: DNI POWSZEDNIE WARSZAWY W LATACH 1880-1900. PIW s. 506, cena zł 40.

Bogato ilustrowana nowa pozycja z cyklu książek tejże autorki o dzie-

więtnastowiecznej Warszawie. Pisze tu autorka o niezwykle bujnym i interesującym ostatnim dwudziestowiecznym wiek dziesiętnastym. Kreśli sylwetki wielkich ludzi, odzwierciedla życie kulturalne i rozbudowę miasta. Wątek obyczajowy i obrazki z życia towarzyskiego wprowadzają czytelnika w atmosferę epoki.

Stanisław Makowski, Zbigniew Sudolski: W KRĘGU RODZINY I PRZYJACIOŁ SŁOWACKIEGO. Szkice i materiały. PIW s. 376, cena zł 36.

Opublikowane tu materiały są całkowicie dotąd nieznanymi, a zacierpniętymi z archiwów. Listy rodziny i przyjaciół, relacje współczesnych przybliżają postać poety i wyjaśniają wiele spraw związanych z jego osobą.

Jan Józef Lipski: TWÓRCZOŚĆ JANNA KASPROWICZA W LATACH 1878-1891. PIW s. 360, cena zł 35.

Jest to początek zaplanowanej trzypiętomowej monografii o twórczości Kasprowicza. Chronologicznie obej-

muje on początki drogi poetyckiej poety, czasy gimnazjalne, wpływ naturalizmu w wierszach o tematyce robotniczej i wiejskiej.

Kazimierz Czachowski: MIĘDZY ROMANTYZMEM A REALIZMEM PIW s. 552, cena zł 70.

Rękopis książki był złożony u wydawcy wiosną 1939 roku. Opracowany przez Adama Czachowskiego ukazał się prawie 30 lat po jego napisaniu przez autora. Obok opracowań dotyczących ogólnych nurtów literatury europejskiej XIX wieku zawiera on obszernie studia o Kraszewskim i innych współczesnych mu prozaikach.

Albin Koprukowniak: RUCHY REWOLUCYJNE NA WSI LUBELSKIEJ W LATACH 1905-1907. Wyd. Lubelskie s. 296, cena zł 30.

Próba monograficznego ujęcia skomplikowanej problematyki walki mieszczańców wsi lubelskiej z carskim uciskiem i wyższym obszarniczym.

NA NASZYM EKRANIE

Mariusz Dmochowski

Nie ma chyba obecnie w Polsce bardziej zajętego aktora niż Mariusz Dmochowski. Główną rolę w „Panu Wokulskim” na scenie warszawskiego Teatru Powszechnego, tę samą rolę kreuje w „Lalce” Wojciecha Hasa, Augusta II Mocnego w „Hrabinie Cosel” — filmie reżyserowanym przez J. Antczaka — oraz Jana Sobieskiego w „Panu Wołodyjowskim” — Jerzego Hoffmana. Od roku śpi po pięć godzin na dobę. Pocił się w ciężkim stroju Augusta i marzył na dwudziestostopniowym mrozie w czasie realizacji scen bitwy pod Chocimem. W oślepiających światłach reflektorów wyznawał miłość Annie Hoym, a wkrótce potem drżał z tajonego wzruszenia na widok Izabeli.

Trzy różne postacie, trzy epoki i cztery odrębne wcielenia

ry, ulice Warszawy pełne przechodniów ubranych w stroje z tej epoki.

— Równoczesne kreowanie krańcowo różnych postaci Wokulskiego, Sobieskiego i Augusta nie jest zapewne sprawą łatwą?

— Nie opuszcza mnie świadomość odpowiedzialności, którą na siebie wziąłem. Powoduje ona tremę, nieodłączny atrybut aktorskiego życia. Powtarzam jednak sobie bezustannie: jestem gdzie indziej, jestem innym człowiekiem. To pomaga.

— Do której z tych ról jest pan najbardziej przywiązany?

— Na pewno do Wokulskiego. Zdjęcia jeszcze trwają. Gram też go nadal w teatrze. Mam przy tym swój emocjonalny stosunek do tej postaci. Sobieski jest najmniejszą objętościowo rolą w „Panu Wołodyjowskim”.



Na zdjęciu: Mariusz Dmochowski w filmowej roli Sobieskiego. CAF — ROZMYSŁOWICZ

psychiczne. Cztery, bo przecież Wokulski sceniczny jest różny od filmowego, chociażby ze względu na inne wymogi warsztatu scenicznego i różne osobowości realizatorów: Adama Hanuszkiewicza i Wojciecha Hasa. Ten fakt na pewno nie utrwala Mariuszowi Dmochowskiemu pracy. A czy bardzo przeszkadza?

— Mimo różnic w prowadzeniu tej roli na scenie i planie filmowym, doświadczenie sceniczne bardzo mi się przydaje. Dużą rolę odgrywa tu oczywiście opanowanie warsztatu, które pozwala mi na znalezienie koniecznych środków wyrazu w zupełnie innych warunkach. Film wprowadza Wokulskiego w niezmiernie bogatą, autentyczną scenerię. Razem z aktorami gra bogactwo wnętrza, piękne plene-

Mimo wszystko jest to rola epizodyczna. Trudno się w niej nawet dobrze rozegrać. Augusta II oceniam już teraz jako dzieło dokonane. Nagrywając dialogi widzę go na ekranie i nie zawsze jestem całkowicie zadowolony. Wydaje mi się, że pewne sceny mógłbym obecnie lepiej zagrać.

— Podobno martwe przedmioty platają aktorom figle. Czy zdarzyło się to panu na planie?

— W jednej ze scen „Hrabiny Cosel” pozuje malarzowi. Ubrany jestem w bogatą zbroję. W pewnym momencie powiniennem szybko zerwać się z miejsca. Niestety, historyczna zbroja „zacięła się”. Konieczna była szybka interwencja... dworzan.

Opracowanie CAF
Rozmawiał — Cz. Chruściński

Kalman Segal

Zakochany rekin

Rzekł rekin do płotki: — Jesteś najpiękniejszą rybką na świecie. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia i pragnę wzajemności. Ach, moja miłość do ciebie jest tak wielka, że muszę cię połknąć.

— Jesteś brutal — odparła płotka. — Nie liczy na moją miłość, kochaj mnie mniej, lecz pozwól mi żyć.

Zakochany rekin westchnął smutno i uczynił to, co wszystkie rekiny zwykły czynić z płotkami.



MARIA GRABOWSKA — nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 3 w Rzeszowie
RYS. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRAG ODPOWIADA

Ob. Zb. B. — Narol: Niestety, z opowiadania „Dyskultanci” nie skorzystamy. Jest zbyt rozwlekłe, naiwne i przeładowane elementami uproszczonej publicystyki politycznej. Dialogi są bardzo „uczonne”, sztuczne i sztywne. Pański szpieg jest tak naiwny, iż należy się dziwić, że jeszcze oglądamy go nawet przez chwilę na wolności. Poza tym w opowiadaniu brak jakiegokolwiek atmosfery, nastroju, tła — jest tylko niezręcznie opowiedziana fabuła. Wprawdzie redakcja niezamówionych utworów nie zwraca, ale tym razem uczynimy zażość życzeniu autora i rękopis odesłamy.

Ob. J. P. — Wojsław: Wiersz jest dość obrazowy i zdradza ruchliwość wyobraźni autora, ale dużo w nim nieporadności

w konstrukcji i nadmiernej ornamentyki w epitetach. Radzimy — więcej zwięzłości, prostoty i dyscypliny językowej.

Uczennice LO — Rzeszów, ul. Szopena: Piszecie, iż odpowiedzi naszej redakcji nie są słuszne, gdyż jedna Wasza koleżanka pisze, jak na swój wiek, ładne wiersze, a otrzymała negatywną odpowiedź. Możliwe, że „jak na jej wiek” i według Waszej oceny wiersze są dobre, ale nie możemy wymagać od wszystkich naszych czytelników, by podzielali sąd uczennic z liceum, które, sądząc po stylu i ortografii, mają nieco trudności z językiem polskim. Bardzo się także dziwimy, że zamiast czytać „Widnokrag”, opieracie się na opinii kolegi, początkującego poety rzeszowskiego. Warto czytać, bo wtedy zobaczycie, iż drukujemy prawie wyłącznie wiersze i opowiadania rzeszowskich poetów i prozaików. I w ogóle dobrze byłoby mieć odrobinę elementarnej orientacji w sprawach, w których się zabiera głos.

Kartki dla Ewy

Karnawał

Zimowe bale mają niepowtarzalny urok. Wspominamy je długo, aby za rok spotkać się znów na lśniącym parkiecie, gdyż właśnie bal kojarzy się nam z wyfrotowaną posadzką, ośniewającą toaletą, wymyślną koafiurą. Kobiety obdarzone fantazją słyszą jeszcze — coraz rzadziej — dźwięk dzwonek u sanek, widzą przysypany śnieg.

Warto więc zastanowić się nad pewnymi drobiazgami warunkującymi dobrą zabawę. Samopoczucie sprawa najważniejsza. Nie idziemy na bal po wielkim praniu, grypie, generalnych porządkach i zapaleniu pęcherzyka żółciowego. Po dwóch godzinach oklapiemy ze szczerem, będziemy ziewać ze zmęczenia i marzyć o własnym łóżku. Nasz partner wścieknie się w duchu, a serdeczne przyjaćki stwierdzą: „postarzała się od zeszłego roku”. Nie uratuje nas nic — szampan, koniak, wystrzałowa kreacja ani przystojny brunet ze stołka w rogu sali, który trzy razy prosił nas do tańca...

Jeżeli chodzi o suknie... nie jestem zwolenniczką komlowskich toalet. Wydatek olbrzymi, korzyść niewielka, gdyż praktycznie bawimy się w nich na dwóch, trzech zabawach, a potem nigdy nie wiadomo, co z takim ciuchem zrobić. Wychodzi z mody, sprzedaje trudno, a nosić się nie da. Lepiej kupić niezbyt drogi brokat, a są naprawdę ładne, aksamit czy atlas. W żurnalach jest mnóstwo modeli i każda kobieta znajdzie coś odpowiedniego dla siebie. Korpulentnym damom nie polecam oczywiście zwiewnych szyfionów, a lśniących lam dwudziestolatkom. Skoro uporałymy się ze strojem, trzeba pomyśleć o fryzurze. Kilkogodzinne siedzenie u fryzjera to istna makabra. Warto więc uczesać się wcześniej, a przed zabawą zrobić niewielką poprawkę. Zostanie trochę czasu na konieczny wypoczynek, ostatni rzut oka na garderobę, staranny makijaż i zjedzenie lekkiej kolacji. Wytworna bowiem kobieta nie pożera na początku zabawy bigosu z setką wódki, kurczenia w galarecie i tuzina ciastek. Wytworna pani po wejściu na balową salę pozwala się podziwiać.

Dlatego za cenę drobnych oszczędności należy zafundować sobie taksówkę. Wymotywanie się z nadprogramowej garderoby psuje efekt wejścia.

Warto również pamiętać o drugiej parze cienkich pończoszek, gdyż wśród tańczących o „awarie” nie trudno, zabrać igielnik i zapasową chusteczkę. Wszystkie te drobiazgi znakomicie zmniejszą się w podręczny torbeczce. Nie zabierajmy jednak żadnych ukochanych maskotek w rodzaju zapalniczki z kurantem i lusterka z podobizną Anthony Quinna — zagina bez śladu. Pamiętajmy wreszcie, że maż też mężczyzna — chętnie poderwie do tańca dziewczynę w „mini-zupce”. Zamiast wymówek obdarzcie go czułym uśmiechem, komplementem, że jest uroczy i tańczy znakomicie. I nigdy, pod żadnym pozorem, nie zaglądać mu przez ramię, gdy płaci rachunek, a zabawa z pewnością będzie udana.

Bega

ZDARZENIA WYGODNIA

Był już „Krzyżacy” i „Faraon”. Prasa szeroko również informowała o przystąpieniu do ekranizacji kolejnych powieści, tj. „Lalki” Prusa i „Pana Wołodyjowskiego” Sienkiewicza. Czytelników zapewne zainteresuje wiadomość, że w Bieszczadach przebywa obecnie kilkudziesięcioosobowa ekipa filmowców, która kręci sceny plenerowe do filmu pt. „Pan Wołodyjowski”. I tak w Chmie lu, pow. Ustrzyki Dolne, nakręcono już scenę pożaru Raskowa, a niedaleko Lutowski zbudowano stanicę chreptłowską, gdzie będą kręcone dalsze. Wąwóz w Polanie będzie natomiast miejscem porwania Basli. Prace przy nakręcaniu niektórych scen filmu, w których biorą udział znani aktorzy, m. in. Olbrychski i Hańcza, zostaną zakończone jeszcze w końcu bież. miesiąca.

W dniach 7 do 9 lutego w Zakładowym Domu Kultury WSK w Mielcu spotkali się na kursokonferencji, zorganizowanej przez Wojewódzki Dom Kultury i WKZZ kierownicy powiatowych i zakładowych domów kultury, klubów fabrycznych i powiatowych ośrodków instrukcyjno-metodycznych. Były to kolejne zajęcia z cyklu szkolenia kierowniczej kadry placówek podległych radom narodowym i związkom zawodowym.

Uczestnicy zajęć wysłuchali m. in. wykładów na temat struktur organizacyjnych placówek kulturalno-oświatowych i funkcji ich kierowników, i zespołu pracowniczego, elementów warunkujących sprawne kierownictwo placówka, programowania i form obchodów oraz zapoznali się z aktualnymi wydawnictwami z zakresu pracy k.o. i strukturą organizacyjną Zakładowego Domu Kultury w Mielcu.

Nie trzeba chyba udowadniać, że od dawna istniała w naszym województwie potrzeba podjęcia niezbędnych kroków w celu zabezpieczenia i odrestaurowania bezcennych ikon, których największy zbiór w Polsce i chyba Brodziej w Europie posiada Rzeszowszczyzna. Pierwszą tego rodzaju akcję zapoczątkowało Muzeum w Łańcucie, posiadające bogate zbiory tego rodzaju zabytków. Ostatnio uczyniono dalszy krok w tym kierunku. Oto w Jarosławiu powstała ostatnio Pracownia Konserwacji Zabytków, która będzie się w tym specjalizować.

Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie w miarę swoich możliwości prowadzi akcję dokumentacji zanikających w coraz szybszym tempie zwyczajów i obrzędów ludowych.

Tak np. 3 bm. Muzeum odwiedził dwaj mieszkańcy powiatu mieleckiego — 80-letni Wojciech Socha i Józef Pluta z Jaślan, którzy w obecności licznie zgromadzonych pracowników przedstawił nieznaną już dzisiaj niemal nikomu program noworocznego teatryku kukielkowego. Wykonane na zamówienie kukielki zostały zakupione, a program nagrany na taśmie magnetofonową i sfilmowany.

Dużą burzę wywołała w Mielcu decyzja miejscowych władz w sprawie rozbiórki zabytkowego dworku drewnianego, położonego w tzw. parku Oborskich.

Najpierw w gazecie zakładowej mieleckiej WSK opublikowany został list otwarty do Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, wystosowany przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej, sugerujący konieczność remontu wymienionego zabytku. W tej samej sprawie zabrał głos przewodniczący Komitetu Ochrony Przyrody i jej Zasobów PAN w Krakowie, prof. dr W. Szafer, wypowiadając się zdecydowanie za zachowaniem budowli. Sądymy, że sporem tym zajmie się w najbliższym czasie Wojewódzki Konserwator Zabytków.

O twórczości

J. Kapuścińskiego

Muzeum Ziemi Przemyskiej i Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu organizują 11 bm. o godz. 18 w sali Klubu Radnego Prezydium PRN wieczór poświęcony twórczości Józefa Kapuścińskiego.

Na program złożą się prelekcja mgr JULIANA OL-CZAKA „Życie i twórczość pisarza” oraz poezje twórcy, które recytować będą aktorzy teatryku poezji.